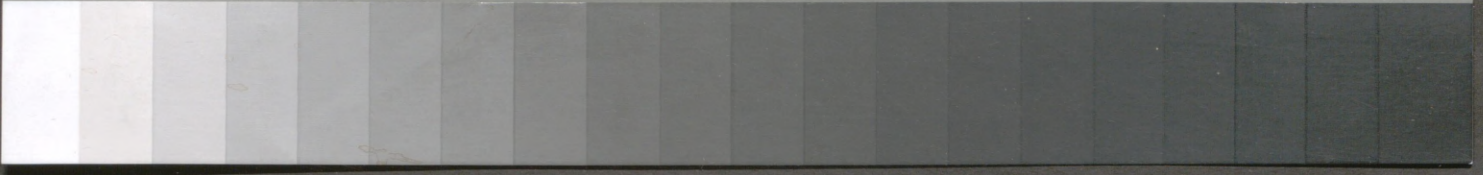


Grey Scale #13



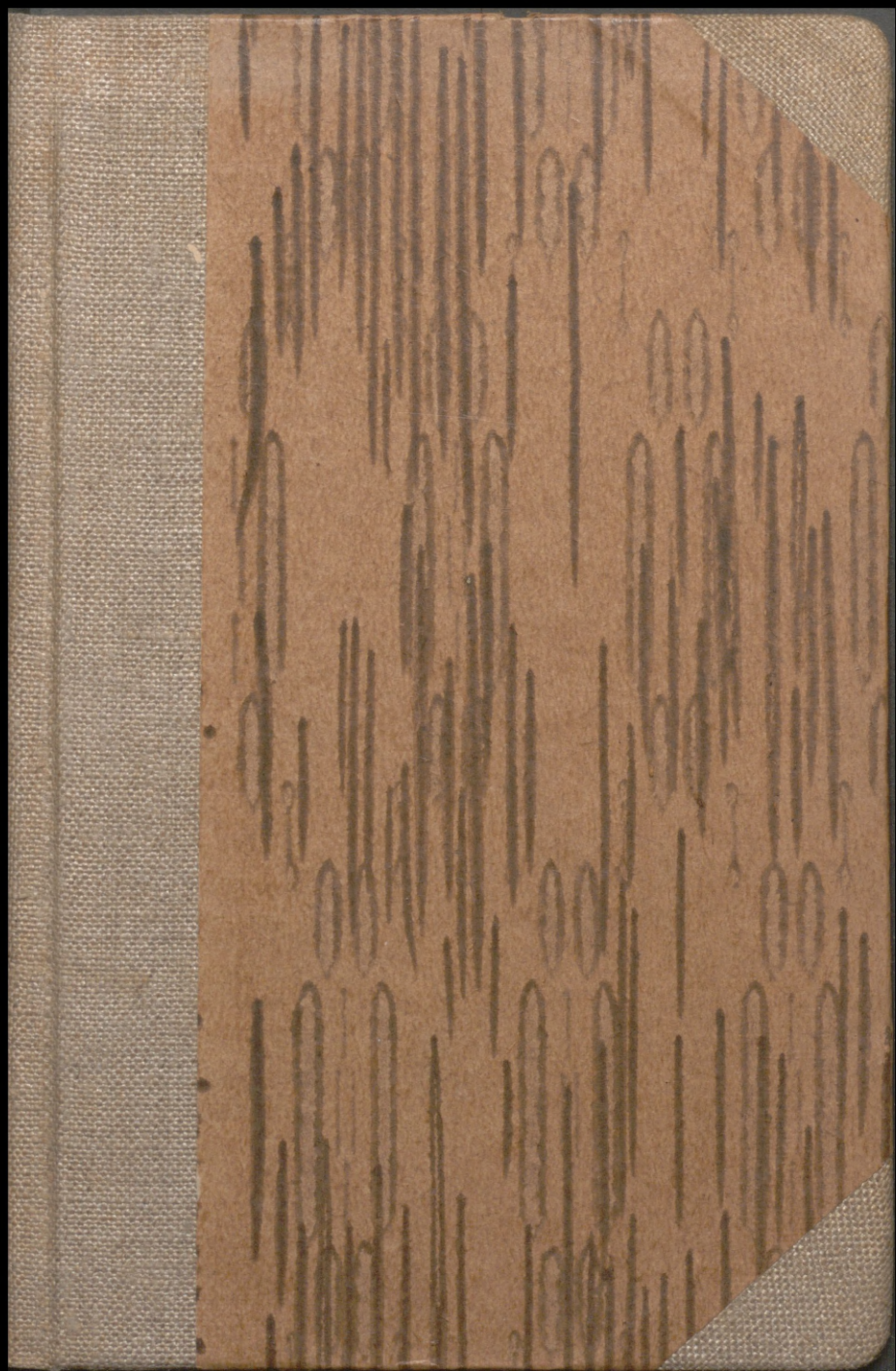
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





1480 / 1098.

v. sp.
10. -

ŻOŁNIERZ W. Ks. KONSTANTEGO.

9

TEGOŻ AUTORA:

Pan Kawaler — Historje z dawnych lat. Księgarnia E. Wendego i S-ki w Warszawie.

„Niewielka rozmiarami, ale niesłychanie zajmująca obfitą treścią książka, w wykwintem ilustrowanem wydaniu, wiedzie nas w świat dawny, rycerski i szlachecki, naszego obyczaju, naszych cnót i wad. Nowele: Księżniczka, Twardowskiego Zapusty, Szwed, Pan Kawaler, Szambelańska przygoda, Lettres d'antan, złożyły się na ten ładny tomik. Więc gorze czerski dziedziniec zamkowy jaskrawym blaskiem pochodni, w walce o ostatnią księżniczkę mazowiecką,—dalej Samuel Twardowski, nie dość snać zażywszy niewiast złośliwości, w konkury o kosooką wojszczankę uderza,—z kraju, którego Bałtyk podmywa brzeg, wieść niesie nam przykład hartu ducha polki,—jedzie Pan Kawaler na złoto-gniadym koniu, równie dzikiej bestyi, jak jego właściciel, groblą ku młynowi, by usłyszeć piosnkę:

Broń się, broń się, cny rycerzu,
Choćbyś serce miał ze stali,
Amor, Wenus gdy w przymierzu,
Jeszcze zawsze zwyciężali,

—w Szambelańskiej przygodzie, w pałacyku pod Blachą, migają brylanty, co niegdyś lśniły u kit z czaplich piór, w białych żabotach, — Lettres d'antan, perełkę całego zbioru, trzeba przeczytać.

Rozmach pióra, plastyka obrazów, humor epizodów, obok artystycznego podmalowania tła danej epoki i opromieniającej książkę miłości tych dawnych lat, co starą strząsnawszy pleśń, stają przed nami barwne i świeżone, świadczą wymownie o talencie autora.“

Kuryer Warszawski.

POD PRASĄ:

HAKATA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Nakładem Księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie.

LUDWIK ROMOCKI

ŻOŁNIERZ
W. KS. KONSTANTEGO

HISTORYE Z DAWNYCH LAT

==== DRUGA SERYA ====



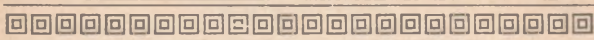
WARSZAWA
NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA
(T. HIŻ I A. TURKUL)

9250/n



POCIECHA.

POCIECHA



Stanislas vendredi fat proclamé Roy,
Venus le mit au trône et non la Loi“.

Tak czytać można w djarjuszach onego czasu, prowadzonych niemal w każdym dworze szlacheckim, a w których obok notatki, że „*primi mensis*“ takiego a takiego urodził się pod znakiem Wagi czy Bliźniąt syn, ochrzczony w kościele parafialnym a parentes chrześni fuere jaśnie wielmożny starosta z wielmożną panią łowczyną i pro notitia wełnę żydkowi odstawić, znajdują się nieraz tak charakterystyczne wiadomości de politicis i poezje, przekopjowane troskliwie, w zakrętach kaligraficznych, lepsze w chęciach niż w wartości.

Lecz czasem ujmują w kilku wierszach całą treść danej chwili. Tak i tu. I jeżeli serca dzieczy sarmackiej nie zabiły ciepłej ku tanecznikowi dworskich parkietów, czując instynktem, zdrowszym od krótkiego rozumu

politycznego, że nie ten zniewieściałuch zasiać powinien na chwiejącym się tronie, przebaczyć im przytem łatwo, że nienawidziły szczyrze to, co jednocześnie w pochodzie tryumfalnym wjechało do Polski: polor francuski, we fraczku i przy szpadce, i ogłada, przyczepiona do muszki na pudrowanem licu,— bo niosły zarazem i rozszerzały zepsucie i gangrenę.

Dziwy opowiadano o nowym dworze, dziwy, o których nie zasłyszał przedtem jeszcze nikt tam, po dworkach, gdzie żyło się po bożemu. Przeszedł ów powiew zarazy już za pierwszego Sasa, lecz ten więcej Dreźnie stolicą orgji swoich uczynił; teraz zasłynęła z przyjęcia obyczajów cudzoziemskich, Warszawa.

Kaeper Ryski do czasu, w którym dwadzieścia pięć lat skończył, chodził latem w parciej kurcie, zimą w baranym półkożusku, po kamienistych bródach rodzicielskiej wioseczki, Potrzeby, w opoczyńskiej ziemi, co to, zmienna urodzajem, jako opoczyńskie kraje, — kopa korzec, korzec kopę daje, — a tylko od niedzieli i święta w żupanku z sukna, weale przystojnego, po złotych polskich dwa i pół łokieć, od przejezdnego kupea-żyda z Berdyczowa wytargowanego przez panią matkę dobrodziejkę.

Harował na równi z parobkami i ojciec

grzmiał na pierworodnego równie siarczyście, jak na tamtych, gdy zasłużyli, jeno, że wtedy do różnych, w Niesieckim zgoła nie wzmiankowanych przydomków, dodawał: acan.

Trochęć był leniwego usposobienia syn pana wojskiego Ryskiego i ztąd może do niewiast nie ciekaw i próżno Maryśka, co prosięta i starszą trzodę oprzątała, a rozrosła była w biodrach, niezem piec gdański, zerkąła na niego.

Do jednego tylko zacięty był i w tem, obok siły niepośledniej, zwinność z zręcznością wielką wykazywał,—fechtunku. Ojciec go wprawiał na rękę, a że sam za młodu, za panem stolnikiem litewskim, aż do Benderu zaszedł i od szwedów i francuzów na rapiery nawet szermierki się expedite wyuczył, więc Kacper i na cięcie i na sztych wyćwiczył się doskonale.

Radby był kiedy swą sztukę okazać, ale jakoś nie trafiała się okazja.

Jednakże dni życia człowieczego po to tylko czasem toczą się tak długo spokojnie, aby nagle zacząć się przekoziółkowywać, jakby los, niby koń wystąpił, rzucając się w nagłych szczupakach, chciał sobie powetować bezczynny czas.

Najpierw na łakę, do terytorjum wsi wojskiego należąca, ładną, choć kwaśną, że w dołku leżała, zleciało się na jesień bocia-

nów stado, potem drugie, w te pędy zaś tyle, że się na łące ledwo mogły pomieścić, ani okiem ich przejrzeć, ani tem mniej policzyć było. Które, uczyniwszy klekot straszny, że na milę wkoło było słyhać, i sąd sprawiwszy, poczem kilka z nich nieżywych znaleziono, zadziobanych za wspólnym wyrokiem, jako i w tym narodzie ptasim, widać, winy znajdują *justam poenam*,—odleciały, do cieplejszego egipskich ciemności kraju pono. Aliści zaraz, na ledwo opróżnione miejsce przez kompatryjotów, zjechały fury z cyganami, od północy, południa, wschodu i zachodu słońka, że rojno ich było, jak przedtem boćków. I rozłożyli się obozowiskiem, ognie rozpalać a strawę przy nich warzyć w kotłach, a pytani, coby w nich gotowali, odrzekli, że ową znalezioną bociańską zwierzynę; na dowód udkiem obgryzionem jeden z nich cisnął, tylko, że dziwnie krótkiem, jak na takiego wielkiego ptaka. Zresztą—swój swego nie zeżre. Gospodarzyli, jakby się na dłuższy pobyt zabierali.

Już zlot ptaków nie podobał się dziedzicowi, który wszelkich innowacji w swem gospodarstwie nie lubił, a pociech miał dosyć, a już na ten zjazd cygańskiego plemienia, złodziejów i wszeteczników, gospodarujących sobie na jego gruncie, jak u siebie, zatrząsał się. Pchnął do nich gumienego, aby się wy-

nosili. Ale ten z despektem wrócił.—Powiedz panu swemu, że łąka dawno skoszona, szkody nikomu nie robim, a wiatr i słońce wszystkim ludzi dobro — rzecze mu cygański król.

— Wiatr, nie wiatr, — a dzieci, a kury kradną, pogany— huknął stary Ryski,—Kacper, biegaj acan, niech fugę dają *stante pedel*

Kacper tyle od organisty łaciny załapał, że, jako rodzic wspomniął *stante pede*, pędem na jednej nodze poskoczył. Wcale nie w smak mu była coprawda ta misja, której trudności wykonania sobie nie taił, gdyż znana hardość cygańska i że, osobliwie w takiej kupie, nawet i ze szlachcica niewiele sobie co robić gotowi, ale wolę rodzicielską, raz objawioną, szanował jako świętą.

Nadspodziewanie mu poszło, gdy przecież, z natury krewkim nie będąc, spokojnie do cygańskiego monarchy wystąpił, ino afirmując mu, że i królewska godność, gdy do rozlewu krwi dojdzie, od szubienicy go nie ocali.

Żachnął się cygan, chłop, jak dąb, spoczywający gnuśnie na posłaniu ze skór na wozie, z których się nawet na przyjęcie Kacpra, godność swą nominującego, ledwo na w pół podniósł, ale opadły go kobiety, — żony, jak się młodemu zdawało, bo te djabły w wielożeństwie żyją — i z wielkim impetem językami mieląc, wykrzykując i popychając się,

perswadować widno i przekładać swemu władcy zaczęły, który rzekł wreszcie gniewnie: „Do jutra tu zostajem, a jutra wieczór, czyja wolna wola, wolno przyjsć—po potraw“.

Urągliwa to była odpowiedź, bo, o wtórym sianokosie nie mówiąc, na co już i nie była pora, żdźbła trawki po tym tatarskim najeździe nie mogło pozostać, ale zawsze dobrze, że dobrowolnie pójsć się gotowali.

Namyślał się tylko wojszycz, sam za pokojowem rzeczy załatwieniem będąc, jak ojca treść responsu zakomunikować z przemilezeniem obraźliwej formy, gdy do wychodzącego już za obozowisko cyganka młoda podbiegła w czerwonej, obeistej spódnicy i kaftaniku czarnym w żółte kwiaty, co ledwo pierś jędrną, z pod rozchełstanej koszuli wypierającą, obejmował. Widział był tę dziewczę przedtem przy naczelniku.

— Powróżyć pięknemu paniczowi może?

— Ehe, właśnie—samiastego już, jasnego wąsa podkręcił i spojrział się na nią, o głowę wyższy, z wysoka, z pogardą — a jeżeli myślisz, że ci za to z za pazuchy garść złotych nasypię, a mnie nie najdziesz!

— Od ładnego panicza ani grosika nie wezmę, co mi złoto? Mam, nie mam!—i wskazała na łańcuch, podkrążający piersi, a który z dukatów szczyrych, spojonych złotem ogni-

wy, zdawał się być złożonym.—Dajcie rączkę, wielmożny panie.

Że jakoś politycznie do niego przemówiła, więc, chociaż się wszelkich guseł bał, rękę, którą pochwyciła, jej zostawił.

Cyganka w dłoń szeroką się wpatrzyła poważnie, pokiwała główką.

— Dziwy, dziwy, w wielkiem mieście będziesz. Ochota ci da szczęście. Pocięch się strzeż. Krew i krew, jeszcze dzisiaj. Ale ze wszystkiego wielkie szczęście być może.—

Wyszczerzyła białe ząbki i uciekła.

Tego samego wieczora wojszczyca pana Klimkowskiego, podczaszyca rawskiego, który, w sąsiedztwie spotkany, na opowieść o cyganach, że to niby Kaeper przed nimi stehórzył, mu naurągał, jak długiego rozciągnął, szabłą go w pierwszym złożeniu przez łeb przemierzwszy tak nieszczęśliwie, że tamten i nie powstał i nie wiadomo było, ażali się wyliże,— i na drugi dzień już był wysłany przez ojca, jedyną nadzieję ujścia pomsty Klimkowskich widzącego w przypomnieniu zasług, ongi u wojewody mazowieckiego położonych, do Warszawy.

Miasta mury kamienne przygniotły go swym ogromem.

Króla Jegomości nie zastał. Dostawszy się jednak raz na sale zamkowe, miał, przy całej dystrakcji, sposobność podziwiać ich

wspaniałość i cuda tam nagromadzone. Zwłaszcza udało mu się jedno malowidło spore, na którym bogini grecka była wymalowana, a dwoje gołąbków, wylatując nad nią, w dzióbkach trzymały sznur, z róż niby, niby z sere. Tej malaturze, pomimo utrapienia swego i obojętnej jak gdyby na wdzięki białychgłów natury, przyglądał się nawet ciekawie.

Wracał jednakże z ciężkiem sercem, wobec niespełnionego zadania i niepewności losu, powłócząc zmęczonemi nogami po Elektoralnej, na której krańcu miał swą gospodę. Wieczór już był, rychle zapadający, ale, jako w mieście tak przesławnem, ludu sporo na ulicach; mieszczki, chichocąc się, zaglądały mu w oczy, obryzgiwały pieszych błotem karoc.

Akurat przed pałacem Jabłonowskich jedna z nich ulgnęła. Dwuch hajduków napróżno się siliło wydobyć osie. Ofiarowywali mu, widząc jego szerokie barki a skromną suknię, napiwek, by pomógł. Podniósł hardo głowę i już odchodził, gdy z za firanki, podciągnionej, przez otwarte okno karety, przejrzała cała nadobna twarz niewieścia, coby go jeszcze może nie było wzruszyło, lecz głos, mile a z frasunkiem proszący o pomoc, dał się słyszeć. Podstawił się. Coś trzasło, hukło i koła wylazły na wierzch.

— Kasztelanowa Grabowska jestem, żebyś waszmość wiedział, z kim miałeś *honneur*.—

Zaprezentował się obyczajnie, chociaż trochę zakłopotany, jej i jeszcze drugiej damie, która zasiadała we wnętrzu powozu, ta jeszcze ładniejsza i młodsza,—panna Sulpieja Krasnowska, z fraucymeru i krewniaczka kasztelanowej. Gdy wprawne oko ostatniej przesunęło się z zadowoleniem, ale bez głębszego zainteresowania, po młodym mężczyźnie, tamta aż raka spiekła.

— Widać zaraz, żeś waćpanna od niedawna w Warszawie—zauważyła z uśmiechem jej opiekunka, a potem, z postanowieniem tych niewiast, które fortuna, stawiając wysoko, przyzwyczaiła do szybkich decyzji, zaprosiła wybawiciela, aby usiadł przed nimi na ławeczce, w przedzie karety.

— Nie mamy czasu na długie rozmowy, dopowiesz waćpan w ten sposób co jeszcze o swojej osobie—i przydasz nam się w każdym razie dalej, jako nasz *chevalier*, bo mamy drogę, acz nie tak znowu daleką, ale rezykowną przed sobą.—

Ścisnęła suknie, które zaszeleściły dumnie, muśnięte prostym sukienkiem żupanika.

Wsiadł i opowiadał, co go sprowadziło do Warszawy za nieszczęście.

Rozmowa potoczyła się wyłącznie niemal pomiędzy nim a towarzyszką kasztelano-



wej, nieśmiałą, lecz ciekawą, i do której Kacper poczynął poczuwać dziwną, nieznaną dotychczas sobie zupełnie, ciekawość. Ładna też to była panna, takiej jeszcze nie widział. Drobna bardzo, lecz twarz jak jagódka, włosy krueze, aż połyskujące, ręczuchny i nożuchny maleńkie, a od kolanek, o które niechęący zawadził, biło jakieś ciepło zdradliwe. Słowa jej były szczerze i miłe — chociaż nie mówili nawet zbyt wiele, patrząc się więcej na siebie.

Pani Grabowska, po rzucanych kilka pytań, pograżyła się w zadumie; miała o czem myśleć, żona najtkliwszego i najniewierniejszego z królów.

Powoli cisza zaległa kolaskę i mrok.

Co się odtąd działo, przedstawiało się potem Kacprowi, gdy sobie wspomniął, jakoby we śnie.

Cisza i mrok, kołysząca się na pasach kolebka, coraz niewyraźniejsze, kiwające się miarowo na głowie kasztelanowej pióro ogromne z jakiegoś nieznanego mu ptaka, rzadziej wpadające z ulicy błyski światełek, bliskość, przeczuwana raczej, niż pochwytana, pięknej panny, mięszały się i zlewały w duszy jego w obraz rzeczywistości jakby nie rzeczywisty — śnił-li na jawie?

Powóz potoczył się Krakowskiem-Przedmieściem, dalej, skręcił w bok, minął rogatki, jak objaśniła przytłumionym głosem więcej

już świadoma stolicy panna Krasnowska, jechała traktem, gdzie już z stron obu szczerze pole czerniało.

— Wieś—rzekła nagle z widoczną uciechą panna.

— Wieś — zawtórował jej uradowany wieśniak.

— Ochota — objaśniła, budząc się z zadumy kasztelanowa.

— To tędy kompanje chodzą do Jasnej Góry — wszakżeż? — zapytała z przejęciem dziewczyna.

Pani Grabowska kiwnęła głową; mniej ją to przejmowało.

Kacprowi zaś stanęła najżywiej w myśl wróżba cyganki i poczuł, jak nagła jasność zstępuje na niego. Przypadek-li, czy nie, tu przeznaczenie jego wiązało się w węzeł nierozzerwalny.

— A ot karczma Pociecha, — tu wiedz, Sulpisiu, przystają pielgrzymki na pierwszy odpoczynek—ale nas zgoła co innego tu przywiodło. Muszę się zwierzyć waszmości, o ile mi to jest potrzebne. Znamienity wieszczbiarz włoski, kawaler de Cagliostro, oczekuje mnie tutaj. Dał mi do Warszawy. gdzie się obawia z różnych względów pokazać, wiadomość o swoim przybyciu tu dotąd i że mnie czeka. A ja także wolę być niewidzianą i nie narażać się na obmowy i dopytywania ludzkie.

Przy świetle pochodni, które dzierżyli hajdacy, przedstawiał się w niepewnych zarysach rozległy budynek w podkowę; w pośrodku wysuwała się ku przyjezdnym długa szopa, czy stajnia. Z jednej strony migotały światła.—Tam—to szynkownia — zdawała sobie sprawę poinformowana poprzednio o rozkładzie domostwa Grabowska — ale obok muszą być stacje, tam czeka mistrz.

Poleciła towarzyszowi zostać na drodze; niewiasty znikły.

Ale trwało to niedługo i wojszeczyc nie miał czasu rozplýwać się w marzeniach, które pierwszy raz w życiu objęły go i lulały słodko, słodziutko, jak matka ukochane dziecko.

Odgłos szybkich kroków, strwożone głosy niewieście, grożące męskie, a nad wszystkim, więcej zgniewany jeszcze, niż wystraszony, głos kasztelanowej:

— Zasadzka — panie Ryski, na pomoce!

Kobiety uciekały, co tchu—za nimi najbliżej mignął mu w blasku pochodni podbiegających lokajów napastnik w ciemnym cudzoziemskim ubiorze, o twarzy żółtej, w której oczy czarne połyskiwały, żarząc się niby dwa węgle; za nim dwóch innych.

Kacper skoczył z dobytą szablą.

Natarł na pierwszego, gdy tamci wstrzymali się na widok służby.

Ale ten też już miał szpadę w ręku i nie-

tylko cięcie sziaheica sparował, ale w okamgnieniu zadał mu kilka pchnięć, tak szybkich, ledwo dostrzegalnych, ile że przy niepewnem oświetleniu, iż Kacprowi zimno przeszło przez krzyż.

Rety, tak zawsze chciał się i na tę broń zdradziecką kiedy spróbować, ale tu poczuł sprawniejszego od siebie, ba, mistrza. To, czego się nauczył od rodzica, nie starczyło, albo też owego czasu sztuka fехmistrzów udoskonaliła się. Pchnął sam prymę, widząc, że przeciwnik łapie w lot jego cięcia na gardzie, prymę bez zarzutu, prosto ku piersi, która, gdyby przeszła, szabla, chociaż zakrzywiona, utknęłyby musiała po plecy. Lecz ów prześliznął mu się jakoś bokiem, prawie, że nie odtrąciwszy śmiertelnego ciosu, i Kacper odczuł raczej, niż spostrzegł ostrze jego szpady pod swą prawą pachą, tuż. Cofnął się jeszcze na czas w tył, widząc znów tamtego, jak zwijał się już w kłębek, jak daży czarny kot, do nowego pchnięcia, które szło w połysku stali niepochwytnie, nieobliczalne, zgrabne, zabójcze... Śmierć, zda się, wychylała się z za pleców mordercy.

W Kacprze zamarło wszystko. Strach—nie miał, lecz teraz umierać, umierać teraz właśnie, żal głęboki, straszny...

A przecież ginął, z rozwartemi oczyma patrzył w zgubę niechybną, odważny lecz bezsilny.

Skok, w którym czuł ciało, jakby sprężystego dzikiego zwierza, rzucające się w olbrzymim drapieźnym susie na swą ofiarę i w tej samej chwili mignęło między nimi jakieś światło, gasnąc nagle z szczękiem, i dostrzegł tylko ciemną postać napastnika, leżącego przed nim na wznak na ziemi.

Panna Krasnowska wyrwaną z rąk hajduka pochodnię strzaskała szelmie o łeb. Słyszał, że syknęła sama. Koniec zbaczającej szpady przeszył jej ramię. Widział, jak złała się za nie.

A wtedy go taka wściekłość zdjęła, że, przyklęknąwszy na piersiach leżącego a odchylając mu gwałtem głowę, gotował się zarżnąć go po gardle jak barana, gdy panna Sulpicja krzyknęła:

— Piąte: Nie zabijaj!

Zawahał się, a łotr, na wpół ogłupiony, eisnął się jednak, jak wąż, w bok do rowu, w którym go woda dotrzeźwiła znać do reszty, gdyż zerwał się i umknął śladem swych kompanów, co już przedtem na widok jego upadku w mig zniknęli.

Kto on był i w jakim celu, czy rabunku, czy uprowadzenia dla wymuszenia okupu, czy że prywatnej jakiejś zemście lub może potencji której obcej dogodnym by było zniknięcie potajemnej, lecz niemniej wpływowej, żony Stanisława Poniatowskiego, zwabił też przy-

branem imieniem znanego jej z swego pobytu w Warszawie Cagliostra w samotrzask, na którym się na szczęście w porę jeszcze spostrzegła, widząc obcego przed sobą o podejrzaney postawie, niezręcznie nieobecność kawalera tłumaczącego, i, pociągnąwszy za sobą swą towarzyszkę, rzuceniem drzwi w zasuwę pogoni trochę wstrzymała,—o tem deliberowano w powrocie napróżno i wieczną to też pozostało tajemnicą. Posądzano francuzicę, którą później za inne sprawy, piętnowaną publicznie, katem wyświecono z miasta.

Ale do tego steku szalbierstw i zbrodni poczuł Ryski tem większą odrazę, popieraną przez pannę, która, gdy pani Grabowska obwiązała jej ramię, lekko tylko skaleczone, westchnęła—a już wjeżdżali w rogatki miejskie i światła domów, pomimo spóźnionej pory, żęły w oczy:

— Aby się tylko złąd wydobyć.

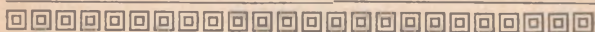
— Jak chcesz, ma petite,—waszmość instancję moją u króla jegomości masz zapewnioną, przebaczenie za tamto i hojną nagrodę za to. Do tutejszego życia nie dorośliście.—

A Kacprowi Ryskiemu się zdało, że od powały powozu spływa łańcuch z róż czy sere, opuszczających się z kołysaniem kolebki, a gdzieś z kąta patrzy twarz cyganichy.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is arranged in several paragraphs and is too light to transcribe accurately.

KLECHA.

1871



Świadki,—jesteście?—zagrzmiał głos woźnego Piotrkowskiego Trybunału hukiem trąby jerychońskiej.

— Jesteśmy!

Ława po prawej stronie przedsionku gmachu trybunalskiego zatrzeszczała i czterech szlachciców, podniósłszy się z niej i rozprostowując kości po długim czekaniu, raszyło sznurem jeden za drugim, wąsaci, ogromni, chadzi i ogorzali, w kontuszach karmazynowych, lecz wypłowiałych, każdy jedną ręką oparty na czapkę przykrytej rękojeści szabli, gdy prawice wahały się w miarę ciężkich kroków, jak u ludzi, co pracy przywykli. Tak szli: pan Jan Damięcki, herbu Dąbrowa, pan Stanisław Ciszkowski, herbu Trzaska, de Długolecki Długolecki, także Stanisław, i Marcin Śledź, herbu Zagłoba, i tak podpisani są zasię na akcie. A była to szlachta drobna, ale stara,

od wiek wieków w Płockiem, w ziemi sieluńskiej lub jej okolicach, osiadła, tak stara, że w sporach z proboszczami płockimi, co niemal całą ową ziemię, w beneficjach jako sobie nadaną, posiadli i nawet książętami się tytułowali, a mniej godni z nich kilkułanowych szlachetków w lud poddańczy radziby byli obrócić, ciż nieraz wwyż do saeculum czter-nastego post Christum Dominum najskrupulatniej wywieść się potrafili, przywilejami i nadaniami mazowieckich książąt jeszcze, co swą szlachtę miłowali a inter poeula hojni byli, jako Piastów ród, w dwójnasób dając, a nie pół, obyczajem skąpego litwina. I lubo władcy pobożni, w rzeczach świeckich, zwłaszcza ku zgubie klejnotu szlacheckiego, nie tak ślepy dawali posłuch każdemu słudze kościoła, jak ci, co wczoraj jeszcze węża czcili. To też, gdy małżonek Bony ostatnią Piastównę z ojczyzycznego dziedzictwa siłą, jakoby umów dawnych, na słabych ojcach wymuszonych, nie dotrzymywającą, wyzuwać groził, ledwie, że piękna a dobra pani szable, z pochew w obronie jej się prosząc, od srogiego bratniej krwi rozlewu wstrzymała. Ale pamięć czasów tych, gdy od niedźwiedziej siły mazurskiej chroboty kości krzyżackie, żyła w sercach tak, jak się tu mówi, chociaż uczeni statyści innego mogli być zdania. Aż dopiero uchwała sejmowa za miłościwie panującego Stanisłausa

Augusta koniec położyła opressji braci szlacheckiej, co się wojewodziecowi mazowieckiemu, a stolnikowiczowi litewskiemu tembardziej chwali, że widać drobnoszlacheckiego Ponia-towa w Przasnyskiem, z kąd najpewniej, mimo płatnych panegiryków, pochodził, się nie powstydział.

Nawodzić się jednak dosyć musieli po sądach, nim prawda, zawsze jak oliwa wypływając na wierzech, w zwycięstwa zabłysła koronie. I właśnie pod on czas źle sprawa szlachty sieluńskiej stała. Marcin Załuski, książę sieluński, pan możny, in contumaciam, gdy nieuczciwy adwokat, ostatnie ezerwieńce z klientów swych wyłudziwszy, a dalszych subsydiów nie widząc, ichmościów nie zastąpił, dekret na nich uzyskał: fora ze dwora, lub w chamy iść. Co prawda, gdy pisarek sądowny w assistencji księżych pachółków, którzy go od krzywdy cielesnej chronić mieli, bo wśród zatraczeńców o brzydką przygodę nie trudno, puścił się po zaściankach szlacheckich, wyrok obwieszczać, rzekł mu pan Nikodem Ogończyk Ogonowski, braciej z Ogonowa najstarszy: Boguż polecieć tą kondemnatkę,—nie tacy panowie w kondemnatach chodzą i od tego w tej rzeczypospolitej jeszcze nikt nie umarł—a z Skonieckich, co lubo szlachta, bez godła chodzili, herbu niewiadomego, bo o nich Bartosz Paprocki — dla pośledności — przepo-

mniał, Grzegorz, zdumiawszy się, iż Bóg tak zatwardził serce onego Faraona, z widłami, że akurat gnój nakładał, na pacholców się zamierzył. Ale z tem wszystkiem strapione były animusze pokrzywdzonych, gdy zdarzył się wypadek dla nich pomyślniejszy.

Mieszkał około Makowa prałat Kamiński, tak wielkiej świątobliwości starzec, stu lat sięgający, że go świętym być mieniono i zdala pielgrzymki do niego odbywali. Tylko wierze świętej oddany i w księgach żywotów tych, których naśladować całym było jego celem, zatopiony, powagą ogromną się cieszył i u konfratrów i sam owe probostwo płockie, na którym królewicze zasiadali, nad biskupstwo miejscowe je przekładając, ofiarowane sobie miał, które Załuskiemu odstąpił, i bracia szlachta pomni byli, że za młodo, żołnierkę traktując, pod Wiedeń chodził. Zkąd jednak rana miała początek, w piersiach się jego wiecznie jątrząca, a tem straszniejsza dla niego, że w otumanieniu chwili pożądania sam, jakoby ten turek, niewiastę nadobną z klasztornego schowania siłą zbrojną porwał. Ślub wziął z nią i syna w krótkim pożyciu z nią spłodził, ten zaś dwóch wnuków Wita i Marka, sieroty, mu pozostawił, którzy na pokutę mu straszną na wielkie nie dobrego a zbójów zgoła wyrosli. Mieszkali, już dobrze dorośli, przy nim, walcząc się jednak po kraju, w hulankach

i burdach się lubujący. Bolał nad tem strasznie starzec, aliści jeszcze gorszą mu wnuki sprawiły niespodziankę, gdy kiedyś z szerególną czeią do Królowej Korony Polskiej, do Częstochowy się wybrał, z kąd niewiadomo jakim sposobem wieść przyszła, że na dzumę życia dokonał. Zaraz się wnuczki tem, co znaleźli, chociaż dażo między ubogich rozdał, podzielili, księgi za byle co żydom sprzedając, a w wiosce rodzinnej, którą obok beneficjum posiadał a dla tychże synów zachowywał, się rozgospodarowali. Tymczasem wraca prałat, żyw i zdrów. Wieść kłamliwą pono wnuczęta mili rozpuścili sami, chociaż, prawdę na opak w gębie przewracając, szydzili, że pewnie dziad ich na próbę chciał wystawić. Ale, żeby nie być pomówionym, że w sądach płoc-kich wpływem jeno swej powagi nad sprawiedliwością przeważył, na wyrok obcych sędziów się zdał, którym oni i dokumenta fałszywe poprzekładali, jako po matce haeredes, ku zgrozie wszystkich. Więc wymienieni czterej sąsiedzi, głowy rodów, z świadectwami wystąpić się ofiarowali, że dobra in quaestione dzie- dziczne starego rodu Kamińskich, co i sena- torów z siebie wydał są, a nie wianem wnie- sione. JWny Walewski, wojewoda sieradzki, słynny jako superarbiter zawołany, raczej w tej funkcji, niż jako sędzia ex officio, z pomocą biegłych w prawie Piotrkowian rzecz miał rozstrzygnąć.

A że, lubo z kościołem w wojnie, jednak za sługą jego się ujmowali, więc panowie Damięcki, Ciszkowski, Długołęcki i Śledź tuszyli sobie z tego słusznie nagrodę i w przychylniejszej dla ich własnej rzeczy opinii tegoż samego trybunała, przed którym się i sprawa z proboszczem płockim agowała, i może zwolnienia farańskiego serca tegoż i nagrody wiecznej za dobry uczynek.

Z tą myślą szli, gęsiego, ku drzwiom sali trybunalskiej.

Lecz już też trzasła ława po lewej stronie przedsionka i stamtąd ruszyło ichmościów sześciu, kupą, wytartemi czołami a weale wypasionemi brzuszka mi świecąc. Zbieranina to była, dwóch wychrztów w tem, z których jeden aż na dworze króla żydowskiego, Franka, w niemieckim jakimś miasteczku przebywał, aż, gdy Sjon ów belzebubsko-farmazoński z braku grosza się zawalił, do Polski, sam się uszlacheiwszy, wrócił, i Niemiec jeden, przez tegoż wychrztę przyprowadzony. Ale szli hardo, z hałasem wielkim, aż woźny, od drzwi w tył się cofając, krzyknął: „Uciszeć się, mości panowie!” Jednakże chcieli przed tamtą szlachtą prym wziąć, i w czelność i w liezbę większą dufni i odtrącając ich od drzwi, koniecznie wejść pierwsi. Lecz pan Damięcki kolanem w brzuch tak poczęstował pierwszego z urwipółców, że w kłębek się

zwinął, a pan Ciszkowski mimochodem prawie zamkniętą opuścił na łeb drugiego, że aż coś zachrząściało i tak poczęstowany, głową naprzód, nurka dał przez drzwi roztwarte w wnętrze sali i nosem pod stół sędziowski się zarył, pan Długołęcki nadstawiającemu się jeszcze nieopatrznie Niemiecykowi jeno lekkięgo byczka w nos dał, że zaraz trochę juszki poszło, a Niemiezyk się grzecznie z obleśnym uśmiechem ukłonił, zaś pan Śledź, wprzód zabiegając krwią źrenice w następnego ślepie tylko wlepiwszy, chrząknął, bo też nie mu więcej nie pozostało do zrobienia, gdyż się pozostali adwersarze już jakoś ku drzwiom kwapić przestali.

Stanęli więc już w zgodzie wszyscy razem przed stołem, tylko ten co pod niego wleciał, spóźnił się trochę do ordynku i jeszcze mu JWny wojewoda Walewski zbytnią czołobitność coram pares, których tylko zaufanie braci, nie równości szlacheckiej nie ujmując, raczej na doradców, niż sędziów wybrało, w pięknych słowach przyganił.

Prałat Kamiński stał na równi z stołem, obok krzesła wyściełanego, na poczęstnem miejscu, starzec suchy, kościsty, pochylony nieco wiekiem, o twarzy sępa, dziwnie ostrych i wyrazistych rysach, gdy patrzeć było z boku, a, gdy mu spojrział kto prosto w oblicze, żdziwionym był, jaką łagodnością i smutkiem

tehnęło. Siąść nie chciał i snąć nie słuchał, co się w koło niego działo, ale oczy jego siwe, duże i spokojne, patrzyły z żalem i z tklivością na wnuków.

Ci stali nieco podle stoła, wzroku ludzkiego unikając, to znów zuchwałe w koło rzucając spojrzenia. Nieokrzesane byli paroby, bo do nauki i obyczajności próżno ich dziad usiłował przyłożyć.

Ale już w imieniu powoda zaczął wnosić sprawę magister jaris utriusque, W-ny Jan z Dakli Poźręba, i przemówił bardzo misternie, od czasu do czasu chustą pot obcierając, tak, choć pora była jesienna i nawet niezbyt daszno w sali, rozam jego, aż opary z siebie wydzielając, nad tem pracował, by udaremnić ex priori argumenta adwersarjusza, W-go Tybarejusza Żaleskiego, który był kuternoga, ale srodze cięty w mowie.

„Trybunale, w diploidzie sprawiedliwości, w mitrze honoru wiecznego przywitany, któryś in aula na stołkach sędziowskich godne swe członki rozłożył.

Ponieważ sam przedwieczny rządecia i nieśmiertelny całego świata dziedzie nietylko swoje boskie postanowił prawa, aby cały naród ludzki we wszystkich one obserwował punktach, ale też monarchom, książętom, i innym wyższej lub niższej kondycji panom z swojej szczerobliwości doczesne pozwolił rządy, że mogą,

tak w złotej wolności państwa obfitujące, jako też w absolutnej potencji i władzy zostające królestwa, sobie wszelkie (quarum sunt firmamenta regni) stanowić prawa, i nam też partycularniejszych fortun dziedzicom, ad libitum et velle sui, z ludźmi cuius vis generis et sexus, obejmującemi fortuny i grunta dziedziczne nasze, postanowić doczesne prawa i nieodmienne dawać im kontrakty, consentiant Bóg, usus i prawo“.

I tego fundamentu się już trzymając, tak gruntownie a jasno rzecz wyłuszczył i impozycją ową rozwidnił, o Boską i ludzką pomstę krzyczącą, że już zdawało się, iż sędziowie nawet służyć nie będą chcieli strony przeciwnej. Bo krzywda już jasna była. Ale, jak to namiętności nawet najprzedniejszy orator nie powinien się dać unieść, wielmożny Pożręba, rozdrażniony zachowaniem się nieprzystojnem imię Żaleskiego, który na najcelniejsze argumenta jego tylko wzgardliwie kiwał i coraz sztykat, sztykat, do swoich klientów podbiegał, coś im urągliwego szepeąc do ucha, że w jednym miejscu najnieprzyzwoiciej końskim śmiechem parsknęli, zaczął, irytując się, ostrze swej wymowy więcej ku swemu przeciwnikowi niż ku sprawie samej kierować, o niecnym ludziach mówiąc i pokątnych radach, niegodnym każdego, co do grona tej prześwietnej palestry piotrkowskiej na-

leżyć ma honor, i, lubo nie wymienił nikogo de nomine et cognomine, gdy skończył obrazem tych wiernych prawa stróżów, co są jako brytany, oddrzwi templi Iustitiae strzegący, gdy plugawe kundle w koło nich ujadają, i to zgoła wierszem:

Gdzie są wierne brytany, wara liche pieski,
Jako to...

tak nawet w oczach Mazarów, co to ślepi się rodzą, błysło nagle zrozumienie, i pan Śledź rad, że i on nareszcie znalazł pole do okazania się, huknął jak na boru rym: „imé Żaleskil“.

A chociaż w tej chwili w bok potężnego szturchańca od pana Damięckiego odebrawszy, dłonią się potężnie po gębie uderzył, aż klasnęło, to już słowo odrazu wołem poszło w świat i wraz wielmożny Żaleski, sztykut, sztykut, podleciał do stoła i rozpozczął:

Kundel brytanowi gdy pokaże zęby,
Brytan będzie z kundla, a kundel z...

I Śledź znów nie wytrzymał, śmiejący się całym gardłem: z Pożręby!!!

A wtedy huk się zrobił i rozgwar i śmiech i oburzenie, jedno przez drugie, a w każdym razie poczuli szlachta bracia, że i najszlachetniejsza sprawa przez niezgrabność własnych

defensorów, śmiesznością okryta, w dyskredyt popaść może, gdy na szczęście powstał z krzesła sam pan Walewski, który przedtem mało co słuchał, w życiu, a w częstych funkcjach swoich arbitrowskich tyle się przeróżnych i przedziwnych mów nasłuchawszy, któremi strony sędziów usiłują przekonać, sedem materiae często zupełnie pomijając, iż nawet nieświadomi nieraz o drzemkę go podczas krasomówczych deszczów posądzali. A sam, gdy głos zabrał, krótko mówił, od serca, gorąco, a przytem przekonywająco i trafnie. Ręką więc znak dawszy, by ichmoście wszyscy zmilkli, streścił odrazu kwestję całą, nie sentencji sądu, która jeszcze nie zapadła, nie prejudykując, ale przekonania swego osobistego nie tając, że gdyby się sprawa ku niekorzyści powodów obrócić miała, na tak świętego męża godzących, to zawczasu im tylko do łaski ojcowskiej się udać.—W kraju, jak w rodzinie, kto zgubne niesnaski, wznieca, gwałtem się posługując, unanimiter potępienia godzien—rzekł surowo—do kolan ojcowskich, błazny!

Młodzi się jeszcze stawiać chcieli, ale co było Walewskich w sali, a było ich sporo, zaraz szablami chrzęścić poczęli, a kuternoga klientom swoim racje, za zgodą przemawiającą, widno przekładać zaczął, tak, że chociaż niechętnie, ale, do prałata przystąpiwszy,

do ręki się jego pochyliłi... A on przygarwał ich do piersi, chociaż z twarzą tak boleściwą, iż jeżeli faciem ludzką do boskiej przyrównać się godzi, ten Chrystus, na krzyżu rozpięty, z krucyfiksu nie boleśniej spoglądał na męty i brudy spraw ludzkich, które w tej sali roztaczać się zwykły. I niedarmo w Lublinie ukazują Go z twarzą odwróconą po urągającym sprawiedliwości i miłosierdziu Jego wyroku.

Ale tym razem zakończenie sprawy sądziom nie przyniosło ujmy, a szlachcie mazureńskiej jej mężne wystąpienie od razu zdało się rokować nagrodę, bo ledwo wyszli z trybunału, podbiegł ku nim dworzanie księdza proboszcza plockiego, który, na życzenie prałata osobiście nie asystując, jednakże bawił tak dla sprawy, jak dla procesu, wytoczonego mu przez szlachtę sieluńską, w Piotrkowie, i do gospody, zajętej przez księdza proboszcza na sąsiedzki poczęstunek prosił.

Szlachta spojrzeli po sobie. Polityczność nakazywała iść, duma zagroziła. — Mamyż chleba razowego w tobołkach, wolej, niż księżę przysmaki!—rzekł pan Stanisław Ciszkowski, choć mu się, po przydłuższem posiedzeniu w sali sądowej, bebechy w struny skręcały, i mieli się ku swej lokandzie po owe tobołki.

Aliści, nim tam doszli, zagarnął ich przecież dla siebie wojewoda Walewski, gości z da-

lekich stron zaklinając, aby jemu tego despektu nie robili, podjęcia w jego własnym domu odmawiając, przyczem i nowe strony i gościnność, wszędzie tę samą polską, poznają.

— Do mnie, w Sieradzkie, jeżeli łaska panów braci, proszę uniżenie, a chodźcie, pókim dobry i proszę, po dobrej woli — żartowałam—bo jak nie, to choźeście chłopcy mocne, na schwał, aleć sile, która was w jasyr bierze, się nie oprzeć! —

Ale, że widzieli, że na serjo o gwałcie nigdy nie pomyśli, choć dwadzieścia szabel samych Walewskich mógł mieć na zawołanie, którzy oddawna co najpiękniejsze włości w Sieradzkim i Łęczyckim sobie powybiali, a sercem prosi, miłą gościnę przyjęli.

— Jeno, że mi jakiś obieżyświat tyżkę z za cholewy wyciągnął—zwierzył się swoim, markotnie, pan Długołęcki.

— Pewnikiem ten Niemezyk, coś mu wazsze tabaki zadał—rozważył pan Ciszkowski—nie to, będziesz pan brat kromką jadł. —

A pan Śledź spojrział z zakłopotaniem na chodaki swe, rzemieniem przytwierdzone, bo buty jedyne od święta, na koszty procesu się składając, był sprzedał.

— Jak ci wiara w sercu jest, a sygnet na palec, to choźeś bosa, wiesz, żeś szlachcie—zakonkludował pan Jan Damięcki.

Dwie niedziele podejmował ich pan Sieradzki, na wyścigi z krewniakami, i puharów tam wiele zgłębili i innych rzeczy, ino jednej nie, to jest koligacji wzajemnej Walewskich, którzy, wiecznie między sobą się pobierając, do takich dziwów pokrewieństwa doszli, że coraz to który sobie własnym wajem, czy stryjem był, ile, że gdyby się rodzic z matką, wspólnych pradziadów mający, nie byli pobrali, tylko każde z innem stadło stworzyli, jednego dzieci dziatkom drugiego, zasię teraz wspólni, w starszym stopniu byliby krewni. A dla powtarzających się często tych samych imion i najwprawniejszy przez ich genealogię nigdyby do końca nie trafił. Tylko rzymska, patrycjuszowska i książęca krew Colonnów, jedna z najpierwszych w chrześcijaństwie, przebijają w nich zawsze. Czarni byli i smagli, i, jako Włochy, gorączki naprzemian i dyplomaci. Na imienników zaś, co nie Kolumną, ino Różą tylko, lub innem, poniekąd też zaenem, godłem się pieczętowali, patrzyli z pańska. Przy wyjeździe też na podwodzie, przez cztery mazurskie, małe, ale różne koniki ciągnionej, klejnocików kilka w upominku się znalazło. Z Sieradza wracali Mazurzy na Płock, ku makowskim stronom, gdy ledwo rankiem październikowym do Płocka dobiwszy, zabiegła im drogę wieść nieprawdopodobna i niesłychana, że prałat Kamiński zabit, że

proboszcz płocki, ledwie przed nimi do Płocka przybyły, porwał się gonić sprawców. Lubo miał kilka godzin przed nimi, że z lieźniejszým dworem wolniej, podwodę ostawiwszy, zgonili go i przyłaczyli się do niego pod wieczór w Ciechanowie, wspólną sprawę swoją czyniąc. Na swoje najlepsze wierzchowce ich przesadził i tak w noc dżdżystą parli już razem, co tehu w szkapach, przez Krasne, pod Maków, na przedzie w sutannie z złotym krzyżem na piersiach, z ostrogami wpartemi w boki końskie, ksiądz Marcin Załuski, proboszcz płocki, ksiądz sieluński. A za nim sznurem szlachty czterech, zasię reszta dworzan. Pomimo wieści o nieznanym jakoby, zamaskowanym hultajach, którzy świątobliwego starca napadli, nie trzeba było zbyt lotnego rozumu, by prawdę zgadnąć.

Nie od wezora po świecie bożym i nie nad Narwią jedną chodzili, głowy rodów mazurek: Jan Damięcki, Stanisław Ciszkowski, Długołęcki Stanisław i Śledź Marcin, spieszący teraz w orszaku tego, którego okrom sutanny za wroga mieli swego najzacieźszego, tam, gdzie ich wołała wiara, prawo i zwyczaj.

Patrząc oczyma duszy w bliską przeszłość za sobą, jak oczyma ciała w tę ciemność nocną, z której wyrzały tylko czasem, czarniejszą jeszcze, wysoką postacią, topole

przydrożne, to zachlupotało błoto pod kopyty podjezdaków, wraz zabielały ściany zaścianka, nie widząc, widzieli jak na dłoni tragedję całą.

Jak, powróciwszy z Piotrkowa, siedzą wnuki obaj w zamkniętych ścianach małej izdebki, już nie dziedzie. Pocięsza ich flasza i złą radę daje.

— Pobił nas klecha weiorności! — mówi Marek, młodszy, miększy.

— Ubijem my jego, psiego syna! — z odgrózką już postanowienie wchodzi w duszę Wita, starszego, dzikszego.

I idą w las, kozuchy włosom do góry przewracając, maski, kędyś z maszkarad przywiezione, dla niepoznaki zakładają. Ginie święty mąż od ojcobójezej broni.

Tymczasem młodzi panowie Kamińscy dla odwrócenia podejrzeń gorliwie się przygotowaniem do pogrzebu zajęli. Ciało na katafalku, czarnym kirem z srebrem obitym, w kościele wystawione. Trzy rzędy świec goreją w koło, płacząc łzami z wosku. Czarna maska na twarzy zmarłego, ukryć szpeczny blizn zbójeckich.

Tylko nikogo w koło, bo panowie dziedzie rozpędzili pospólstwo, z płaczem się gromadzące, a braci szlachty coś nie widać. Wnukom samym też do warty przy dziadzie niesporo, nad gąsiorami radzą; kilka pustych

brzuchy wywaliło, największy, z przepalanką, na schyłku.

— Aby jakiego wypadku nie było—trwoży się Marek — chłopstwo szemrze, szlachta stroni.

— Głupiś, co ma być? poznał nas kto?— fuka Wit—chybaby sam z martwych powstał!

— U niego to nie niepodobna rzecz, pamiętasz, z Częstochowy, sami uwierzyliśmy, że nie żywi!

— W własne gadanie!.

— Bracie, chodźmy zajrzeć, a nuż on tam ożył i przed ołtarzem stoi... — Wit wstał ciężko, zatoczył się, parę pistoletów z ściany zdjął, panewki obejrzał.—Na napastnika, albo na nieboszczyka! —

Kauzyperdy go rymów nauczyły.

— A do budy, hu, hu, pod ziemię stary! Takimi okrzykami zagrzewając się, poszli panowie Kamińscy oglądać, czy czasem dziad ich z katafalku nie powstał i przed ołtarzem mszy nie odprawia.

Ale nieboszczyk leżał w aureoli gromnie, jaskrawych wśród wpół rozświeconych kościoła czarności nocnych, w niemej powadze śmierci, na katafalku, bo gdy dusze zmarłych czasami na świat wracają, w pokucie, czy drogich im za życia przestrzegać, niewidzialne pozostają oku ludzkiemu, do powłoki grzesznej nie wracając. Lecz od podmuchu,

gdy drzwi roztwarli, żółty płomień świec muśnął po trupie i zażarzył widać jedną z cienkich taśm, przytwierdzających maskę, bo gdy stali tak chwilę w milczeniu, ta nagle, zwiijając się od gorąca, odskoczyła od twarzy.

— Mówił

Strzał huknął. Szarpnięty wpijającemi się w ramię jego w zabobonnym strachu palcami Marka, sam uległszy na chwilę jedną zaraźliwej trwodze, Wit wypalił. Ale kula, niepewną ręką posłana, chybiła żółciejącej, krwawą blizną, niby piętnem, znacznej tej twarzy o surowych sępiach rysach, przewróciła lichtarz, od którego płomień rzucił się cchiwie teraz na frendzle kiru, i, rykoszetując od filaru, przeszła ciborium na ołtarzu,

Mierząc już celniej, strzelił raz drugi. Mózg bryznął z strzaskanego czerepu szarą konsystencją, z kwią zmięszaną, na kobierzec i tafle kamienne posadzki.

— Nie zwiedziesz nas już, klechol

Ale już przez pijane głowy przeszła im myśl, co teraz będzie.

— Klękniij—głos załamał się Markowi—módlmy się, on święty... niech nas ratujel..

Ranęli na kolana, za ręce się trzymając.

I Wit rozpoczął dzikim, zrozpaczonym głosem, odbijanym przez echa ścian, to wznośjącym się, jakby w krzyk groźby, to przyciuchającym szeptem strachu, to prośbą żarliwą

kwilącym, na raz dziecinną i bluźnierczą, bo nie z skruszonego serca, modlitwę: Ojciec nasz, który jesteś w niebiesiech...

Marek bełkocząc wtórował, gdy pod czaszką wiły im się skłębione błędne myśli, które wymieniali między słowami modlitwy.—Święć się imię Twoje, ani chybi, za świętokradztwo już pewnikiem ukarzą, przyjdź królestwo Twoje—rok i sześć niedziel turmy, abo więcej,—bądź wola Twoja,—aby nie kat,—Wit, czyś ty widział kata? — jak na niebie, tak i na ziemi,—ciekaw ino, czy w Makowie czy w Płocku nas zetną. Amen, amen,—i głowami bili w posadzkę, a Wit spojrział żałościwie na Marka, i—krzdyk—palcem po gardle przejechał.

A katafalk płonął jak drzazga.

— Idą już!

Tętent biegiem ziemię tłukących kopyt zbliżał się. Zabrzmiały głosy liczne i we drzwi wtoczyła się hurma szlachty i dworzan, wąsate, straszne twarze wyjrzały z cieni u od drzwi ku płomiennym ezelaściom gorejącego pośrodku śmiertelnego rusztowania, gołe szable połyskały w żyłastych dłoniach. Z pomiędzy szlachty widniała groźna postać księcia siewierskiego.

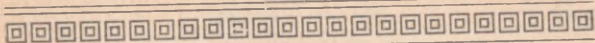
— Wiązać ich!

Katafalk, pożarty ogniem, zapadał się. A gdy deski uginały się ku wnętrzowi, głowa

i tułów leżącego wzniosły się, iż chwilę zdawało się wstać chciał, a prawica uniosła się, skręcając się od skwaru, z rozczapierzonemi palcami ku górze, jak gdyby zmarły przeklinał, czy też litości błagał dla nieszczęsnej, wyrodnej własnej krwi.

ZIELONA PAPUGA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



W hotelu Wileńskim na Tłomackiem, pod on czas, za namiestnikowstwa ks. Zajęczka, a faktycznych rządów Konstantego Pawłowicza, jednym z najpierwszych w Warszawie, w dość obszernym pokoju pierwszego piętra, umeblowanym na wpół mebelkami hotelowymi, mocno zużytymi, nawpół bardzo pięknymi sprzętami, wprowadzonymi najwidoczniej przez czasowego pokoju tego i sąsiednich mieszkańca, wieczorem letnim wokoło zielonego stolika, siedząc i stojąc, rozłożyła się grupa osób i jestestw żyjących dość dziwna i niezwykła. Za karcianym stolikiem, na którym w czterech rogach świece były pozapalane, gdy gości stopy broniły dostępu jeszcze niezagastemu słońcu, siedziało naprzeciwko siebie na wygodnych fotelach dwóch mężczyzn, typów fizycznie niepodobnych, wskazujących jednakże pewne podobieństwo w ruchach, gestach i zachowaniu.

Nizki, gruby, łysy, z twarzą szeroką, w jasnozielonym szlafroku w orzechowy deseń, pan Adam Nosarzewski, były pułkownik wojsk rosyjskich, ciągnął faraonika, rozkładając tłustymi paluszkami karty na dwie strony, z których jedna dla bankiera, druga poniterowi służyła.

Za fotelem pułkownika stało dwóch w fantastyczną liberję przybranych Murzynów, Hassan i Ali, z harcapani białymi na głowach, jeden trzymając cybuch swego pana, drugi pochylając mu stojącą na krześle kasetkę żelazną, z której bankier w miarę potrzeby czerpał ruloniki, papierem z cyfrą owinięte, zapieczętowane woreczki, schowane również, i pojedynczo rozsypane dukaty, klnąc po francusku z cicha, ale tem dosadniej, im więcej z zawartości skrzynki przechodziło w ręce partnera, którym był gość z Petersburga, w przejeździe w Warszawie, generał-lejtnant w służbie czynnej, graf Buturlin. Była to w ową chwilę najgrubsza partja w Warszawie i w czasie, kiedy grywali wszyscy, dwaj najwięksi gracze na Polskę i Rosję, może na cały, bez ojczyzny świat graczy. Na drażku w kącie darła się papuga, koloru trawy morskiej, z ponosowymi rabatami, wymyślając swemu panu, który, gdy krzyczała zanadto, strofował ją:

— Tais toi, cocotte!

— Saligaud, saligaud! — odpowiadała mu

zacięcie. Podawał jej na to Murzyn z srebrnego pudełeczka kawałki cukru, poczem się czasem uciszała, a czasem nie.

Generał-lejtnant Butarlin, w ciemnym z wązkimi galonami półmundurze rozpiętym, mężczyzna ogromny, niegdyś ozdoba kawalergardów Imperatorowej, ościęzały nieco z wiekiem, przywiózł z podróży po Wschodzie, którą z rezydentary u carzyków Chiwy i Buchary do Chin odbył, nieodstępną parę Chińczyka i Chinkę, których wieku żadnym sposobem, a płeć chyba w łaźni można było odgadnąć, tak odpowiadali sobie kształtem szafranowych twarzy i po pięty warkoczy. Tylko Chinka była drobna i siedziała z podkulonemi nogami na szezlongu, gdy Chińczyk z wachlarzem czatował za fotelem generała na rulony ze złotem, które mu tenże czasem do ręki, ale częściej do kieszeni szerokich niby pluder, niby sukni czarnej, jako do kasy swej podręcznej, wsuwał.

Uzupełniał ten pejzaż, jeden z tych niewymarzonych, jakie nie w Arabii ani nad Gan- gesem, ale właśnie tylko w tym karawanseraju narodów i typów, w Polsce, można było oglądać, jastrząb wpółobłaskawiony, z zawiązanemi oczami, ulubieniec Rosjanina-myśliwca, łańcuszkiem przytwierdzony do postamentu, nad którym zawisł; instynktownie jednak raz po raz drapieżne pazury wywrotem odwracał ku

papudze, która wtedy skrzeczeć poczyniała jeszcze przeraźliwiej.

Szczęście wahało się, chociaż więcej sprzyjając Rosjaninowi. Ale nagle odwróciło się stanowczo przeciwko niemu. Jedna karta za drugą padała dla banku. Z kieszeni chińskich wyjeżdżały raloniki i węzélki jedne za drugimi z powrotem do skrzynki, gdzie je Murzyn Nosarzewskiego, z lubością białkami przewracając, pieczołowicie chował, jak matka przygarnia zbłąkane, do domu rodzicielskiego powracające dzieci. Wyjechało dalej kilka ralonów, których Murzyn bez kwestji jeszcze nie znał, bo je oglądał troskliwie, i pulares, biletami bankowymi napchany. I te czarny, z wiadozernem lekeważeniem, mniej je miłując niż złoto, pomieścił, zwinięte w kłębek, w kasecie.

Aż nieszczęśliwy gracz, sięgnąwszy znowu ręką do zwykłego schowania, nie tam nie znalazł. Uszczypnął Chińczyka w udo, ale ten zniósł to z heroiczną wytrzymałości. Przemówił potem do niego kilka słów ostrych po rasku, ale Chińczyk szerokim gestem patetycznym rozłożył ręce, dokumentując nim swą niewinność. Wtedy Butarlin podniósł się z siedzenia w całej swej okazałości, a gdy stanął obok syna, także słusznego wzrostu, przynosił go jednak o głowę. Nagle jedną ręką złapał go za warkocz, drugą ujął w pas i, sta-

wiając go głową na dół, sztorcem na ziemi, zaczął nim potrzasać, że chwiejając się w złotych pończochach i takichże sandałach nogi Chińczyka, wśród rozpadających się sukni, wyglądały jak prążki jakiegoś potwornego, czarnego kwiatu. Spadł złoty deszcz. Potoczyło się kilka sztuk złota. Grał roześmiał się z zadowoleniem, że raz jeszcze przyłapał złodzieja.

Ale, gdy chytry zjadacz ryżu powrócił już do postawy, zwykłej ludziom, z miną obrażoną macając swój warkocz, czy nie poniósł szkody, pan pułkownik Nosarzewski spojrział na niego bystro i złośliwie swemi malutkimi, w tłuściezu tonącemi oczkami i, podnosząc się także, jak na tak opastego człowieka bardzo szybkim i zręcznym ruchem, wyciął szafrowego w gębę.

Chińczyk wypluł dukata.

— Hein, quel bonze, encore une fois, attrapel

Prask z drugiej strony, dragi dukat.

A papuga darła się dalej:

— Attr-rape.

Leez, gdy zamierzał się potężnem ramieniem zdamiony sam pan bonzy, nim rękę podnieść zdążył, z żółtej osobistej skarbonki, jako owoc postrachu, wypadło kilka monet naraz.

— Widzisz, kokotko, mon animal chéri, jacy ci ludzie są nie warci, fi, le voleur!

— Voleur de ma vertu... — zaczęła kokotka jakąś arją.

— Tais toi, mal elevée!

— Mal elevée, polisson, polisson!—skrzeczała papuga.

— Nie, kokotko, nie wszysey tacy—przekonywał pan pułkownik, zezując w tył ku Murzynowi—oddaj ten cukier, łakomezel!

I Murzyn błędąc, co pono jest u czarnych toż samo, jak gdy biały się ramieni, wyciągnął z za pazuchy kilka kawałków cukru.

Poczem partja już bez przeszkody szła dalej.

— Na moje Wiaziemskie dobra w tambowskiej gubernii.

— Kaci cię tam wiedzą, jakie tam one są, te twoje dobra w tambowskiej gubernii, i ja napewno ich tam nie pojedę oglądać, pewnie niebo i ziemia, jak w moich litewskich—medytował pułkownik—ale tyle wiem, że są, i z weny trzeba korzystać.

— Excellence, la déveine vous poursuit—odradzał jednakże grzecznie.

— Bah—machnął ręką tamten,—ça changera.—Jakoż mogło tak być, bo grali już ze zmiennem szczęściem od wczorajszego wieczora, to jest od godzin dwudziestu czterech, z małemi pauzami tylko na jadło i picie. Zresztą przegrana kilku, albo nawet kilkunastu tysięcy dukatów nie robiła ani jednemu

ani drugiemn zbyt wielkiej różnicy. Generał, ze starej bojarskiej rodziny, miał znaczne dobra dziedziczne i w karierze zdobyte, donacyjne, nie mówiąc o niewielkiej względnie pensji generalskiej, mimo że trafiały się akcydensa; pułkownik Adam Nosarzewski dobra, skonfiskowane ojcu, ostatniemu rotmistrzowi hasarji polskiej—chociaż tylko *de nomine*, bo hasarji już nie było, ale zawsze szarża ta, za grube pieniądze kaponia, brzmiała pięknie — dzięki osobistym stosunkom służby wojskowej w wojsku rosyjskiem odzyskał, a było tego coś dwa tysiące włók ziemi na Litwie i lepszych kilka pięknych majątków, pszenne i żytnie, w Ciechanowskiem, oprócz gotówki.

Jednakże, gdy ekscelencja, podczas tasowania kart przez partnera zrobił krótki obrachunek sum przegranych kredą na zielonem saknie, chociaż *beau joueur*, nie mógł pokryć pewnego wzruszenia.

— Je perds dans les quarante mille livres d'or—wyrwało mu się.

— Quar-rante, quar-rante—szydziła papuga.

— Si cela suffit à votre Excellence?..—zapytał trochę ironicznie partner.

— Niet, niczewo—zniecierpliwił się przytykiem do uchybienia przeciwko dobrego smaku—połowę Wiaźmy już pan masz, druga połowa na odbicie, quitte ou double na waleta.

Tamten zawahał się jednak chwilkę:

— Czterdzieści tysięcy dukatów?

— Parfaitement, da, na waljeta!—apoko-
rzył go obojętną odpowiedzią grafi. Karty pa-
dały, odwijając się zwolna. Z ukrytem pod
maską obojętności najwyższem napięciem ner-
wów śledzili je gracze. Walet nie zjawił się.

— Korol, as — szeptał Baturlin,—żał mu
było kart, padających na jego stronę, na które
nie stawił — dziesiąteczka bubnaja, ceci me
porte toujours la guigne, le dix de carreau,—oh,
waljet!

Walet odwinął się po lewej stronie, ban-
kierskiej.

— Vale Wiaźma dla ciebie, kochany gra-
fie—pomyślał pułkownik, ale z obowiązku po-
łożył jedną kartę po prawej stronie, dla po-
nitera. I tam padł walet.

Wypadek taki nazywał się w technicznem
oznaczeniu języka szulerskiego: „pliez“—kom-
binacja, obmyślona na korzyść ciągnącego
karty, to jest bankiera, któremu dawała pra-
wo albo do połowy stawki, oznaczonej na za-
giętej karcie ponitera, albo też ciągnąc karty
dalej z tym awantażem, że jeżeli następna
równa karta padała po stronie przeciwnej, po-
niter otrzymywał tylko swoją stawkę z po-
wrotem, gdy zaś padła dla banku, bank brał
ją całą. Z drugiej strony graez, stawiający
przeciwko bankowi, mógł się okupić natych-

miastowem poświęceniem połowy stawionej sumy.

Nosarzewski spojrział na generał-lejt-nanta.

— Continuez!—zakrzyknął ten.

Karty zaszeleściały.

Po kilku obojętnych pociągnięciach wale—i to treflowy, podług odwiecznego zabo—bonu graczy najniezszczęśliwsza karta, — mi—gnął w palcach bankiera, układając się po je—go stronie.

Rosjanin spojrział dziko na nieszczęsne—go niżnika, schwycił za niego, mnać go w dło—ni; porywając się od stołu, złapał za długi pistolet kawaleryjski, leżący na małym stoliku przy kasetce pułkownika, i wypadł do pokoju obok sypialni Nosarzewskiego. Zagrzmiał wy—strzał.

W saloniku powstał zamęt bezładny. No—sarzewski skoczył, jak sprężyną pchnięty, na ratunek, murzyni upadli na kolana, z kasetki przewróconej rozkulnęły się dukaty po podło—dze, papuga przebudziła się, wydając ogłu—szające wrzaski; Chinka z kanapy, nieśmiało wyciągając okaleczone w liliputowych sandał—kach nogi, krokiem kołyszącej się kaczki po—drepeła ku sypialnemu pokojowi; tylko na bez—wąsych wargach Chińczyka przesunął się zły uśmiech tryumfalny.

— Na środku sypialni stał graf Buturlin

z dymiącym jeszcze pistoletem w prawej, ściśniętą w pięść lewą ręką grożąc zatkniętemu rogiem w szparę framugi okna, przedziurawionemu kulą waletowi.

— A sakinsyn! ubił jewo! —

Gracze wrócili do stołu.

Ali, na klęczkach jeszcze, wyciągnął domyślnie nową talię kart.

Na korytarzu, pod drzwiami, rozległy się kroki, głosy wystraszone, niecierpliwe; przez ostrożnie uchylone drzwi zajrzał gospodarz hotelu.

Grafi rzucił mu przez ramię:

— Szampanskawo!

Po tym incydencie gra ożywiła się jeszcze więcej.

— U mienia jeszcze dobra matczyne w Archangielskiej gubernji—pocieszał się Buturlin, pod wpływem wina wpadając w dobry humor.

— Djabie zimno tam być musi — żartował już głośno Nosarzewski—zmarzłbyś tam, Ali. Nie, kokotko kochana, pojedzie tam nasz plenipotent, pan Poniedziałkiewicz,—a co nakradnie—chyba lodu? Będę liwerował Sema-deniemu do jego mrożonych ciastek!

Ale zapisaniem było w księgach przeznaczenia, że te zamki na lodzie księżycowymi pozostaną, bo wraz z ubitym niżnikiem ubił generał-lejtnant i swoją guigne. Odwróciło się

odrazu. Karta za kartą służyła mu, jak przyciągana jakimś magnetyzmem na jego stronę.

— Co się krzywisz Ali? Już do Archangielska nie pojedziesz!

Za pół godziny dodał pan jego żałośniej:

— Ani pod Tambow. Konie tam dobre!

Ale, gdy Ali ostatnie węzełki wyciągnął i kasety dno zaświeciło, a Chińczyk z nadętemi biodrami wyglądał, jak postawione na słupie czarnym, z wystającym ponad nie drążkiem, dwójaki, pułkownikowi się żartów bez mała odechciało.

— Ty śpisz, kokoto, nawet mnie nie żałujesz. Nie lepsza jesteś od ludzi, malhon-nêtel—Próbował jeszcze dowcipkować.

— Maladetta, maladetta!—krakała sennie.

— Po swoje w piekło!—i nie tyle może przegrana własnych pieniędzy bolała go, co, że współzawodnikowi swemu w randze największego gracza tak dał się wyślizgnąć. Ambicja jego cierpiała na tem.

Zmienili role. Generał bank trzymał, Nosarzewski poniterował, ale z równą deweną. Gracz zwykle zimny i przy całym zuchwalstwie ostrożny rozpalał się coraz więcej. Dwunasta w nocy dochodziła. Graf, którego kolosalna struktura mniej znosiła bezsen i brak wypoczynku, niż niezmordowanej energii tamten, ziewnął. Szampan podniecił go w pierw, teraz zaczął go usypiać. Nosarzewski wie-

dział, że graf, wygrany, nie wstanie od stolika, raz, żeby to za niezgodne z honorem światowca i renomą wielkiego gracza uważał, a potem, że zasadą d'un joueur de marque jest, póki się wygrywa, grać dalej, jadąc po wienie, jak po przelegającej nareszcie do manskarta odpornej kobyle. Ale Batarlin mógł usnąć, i wtedy partja się kończyła, bo ze śpiącą papugą można rozmawiać, ale z śpiącym partnerem grać niepodobna. Więc pomimo całej wytrawności i świadomości, że nigdy nieżywej fortanie wbrew się nadstawiać, tylko już chyba—plecami, zaryzykował i on, w najnieposobniejszym szczęścia momencie, swój *grand coup*. Do czterdziestu odegranych poszło dwadzieścia tysięcy jego. Dama już kilka razy przeszła na stronę bankiera. — La donna è mobile—pogwizdnął pułkownik:

— Va banque, na damę!

Generał-lejtnant roztrzeźwiał. Poczul, że była to chwila zapasów śmiertelna, ostateczna—dla niego strata dóbr, konieczność szukania nowych źródeł dochodu. A Batarlin był wielki pan, nie łapownik, zaś przyzwyczajony do wydawania bez rachunku, nie pojmujący życia inaczej. Stryj jego otrul się, zrujnowany przedtem, i on sam w dewenie wszystko na jedną kartę postawił, ale, odzyskawszy teraz z naddatkiem, nie miał ochoty znów wszystko zaryzykować. Jednak rzekł:

— Val

Dama karowa.

— Ot krasiewa diewoczka! — bankier nie mógł pohamować swego radosnego wzruszenia. — A dla was, Adam Adamowicz, diesiatoczk! Je vous plaindrais sincèrement, cher ami, ale to byłoby obrazą dla pana. A teraz na którą kartę?

— Encore une fois, la même somme à la dame!

Gracze zatrzymali oddech w piersiach. Małe kartony tekturowe, dla zabawki wynalezione a ważące fortuny i życia, padały leniwie. Los czekał. Cicho było w pokoju, tylko kart szelest. Nawet Ali, nie rozumiejący znaczenia cyfr niepochwytnych ogromu, białka nieruchomo wytrzeszczył. Hassan zapadł w nieruchomość przy nienatkanym do końca cybuchu. Chińczyk, z ręką z wachlarzem skośnie wyciągniętą, zamarł w wachlowaniu w pozie drewniano sztywnej bożków swego kraju. Chinka wzniosła się na kolanach, z wyciągniętą żółtą szyją. Papuga, łeb pod skrzydła schowawszy, przedstawiała widok zielonego kłębka, jastrzęb spał na jednej nodze.

Zegar wydzwonił w głuszy powolnym szczełkiem północ, świece płomyki zapłonęły wyżej, jastrzęb nagle wrzasnął przeraźliwie.

Dama pikowa tym razem, leżała po stronie bankiera.

— A dla was — monotonnie mówił bankier — walet treflowy. Miatieżnik upokorzył się! —

Trochę zawstydzony własnem szczęściem, graf Batarlin jeszcze grać był gotów.

Ale pałkownik miał dosyć.

— Poproszę waszej ekscelencji o dwa tygodnie mory na uregulowanie.

— Oh, tout à votre aise... Więć nie nie gramy dalej? —

Pierwszą myślą Nosarzewskiego, gdy się rozstali i generał-lejtnant, popychając Chińczyka przed sobą, z drepezącą Chinką za nim, jastrzębiem, pokazującym pazury kokotce, ruszył na krótki spoczynek, skoro świt mając wyruszyć do Petersburga, było, skąd najspieszniej wydobyć potrzebną na zapłacenie długi samę, drugą, jak ją z lwiej paszczęki znowu wyrwać.

Pierwsze było łatwiejszem do rozwiązania przy pomocy przyjaciół i lichwiarzy, zastawem dóbr litewskich, ściągnięciem tenaty na parę lat naprzód z włości płockich, ostatecznie przez arrangement ze szwagrami, z którymi się procesował, — ale gorzej z drugim.

Wielki viveur petersburski, raz dostawszy pieniądze do ręki, ani chybi w parę tygodni jednego oberżniętego dukata z nich nie utrzymał

— Niema rady, petite cocotte chérie —

trzeba samemu z pieniędzmi za ekscelencją do Petersburga jechać,—zawsze lepiej, niż do Archangielska. Ali, możesz sobie wziąć kawałek cukru, ale w pierw zdejmiesz mi pantofle. Szczęściem, że żony nie mam,—dopierożby była awantura po takiej calamité!.

I jeszcze przewracając się długo na łóżku, upominał chrapiącą kokotkę, że nie jest lepszą od ludzi, bo i ona ani odrobiny serca dla niego nie ma, wyrzekając na swoje nie-szczęście, i że jedyną jej zasługą to tylko, iż go nie okrada, jak Chińczyk Buturlina, który się nawet na tem nie spostrzegł.

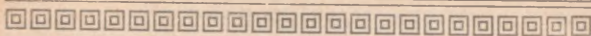
— Nie to, że przegrałem, ale że do głupszego od siebie przegrałem, boli mnie—i z tem zasnął.

Pałkownik rzeczywiście za swoim adwersarzem do Petersburga pojechał, z murzynami, papugą i skrzynią z dukatami, i fortuna, która hazardowcom, gdy przytem są konsekwentni, sprzyja, pozwoliła mu odegrać połowę przegranej sumy. Odtąd zabastował i, dawszy sobie słowo, że więcej w hazard grać nie będzie, że był z tych ludzi, którzy słowa dotrzymują, tej przyjemności się wyrzekł. Ale, że podług niego tylko cztery rzeczy na świecie warte były, żeby się nimi interesować, mianowicie: kobiety, konie, wino i gra, więc, gdy z płci słabej doszedł był na podstawie licznych doświadczeń do przekonania, że tylko jego

kokotka, i to jeszcze licząc się z jej kapry-
sami i brakiem sereca, jest coś warta, koźmi
dla wieku, otyłości i predylekcji do życia w mie-
ście nie bardzo mógł się zajmować, wino mu
dla podagry doktorzy, a gry teraz sam sobie
wzbronił, więc jaki sposób arozmaicenia so-
bie dalej życia wynalazł, o tem traktuje inna,
równie ciekawa, jak z szczegółowych opowia-
dań, zostawionych przez naocznie przytomnych
wiernie zdjęta historja, pod nagłówkiem: „Ostat-
ni Zajazd na Mazowszu“.

OSTATNI ZAJAZD NA MAZOWSZU.

OFFICE OF THE ATTORNEY GENERAL



Gdy pułkownik Adam Nosarzewski wrócił z Peterburka z odegraną od grafa Buturlina połową sta tysięcy dukatów holenderskich i z przysięgą nie hazardowania więcej, a z trzech pozostałych kardynalnych osi życia, kobiet, koni i wina, dla niedomagań późnego wieku już dawniej zrezygnował, kontynuacja nudów starokawalerskich, w quasi małżeństwie tylko z kłótniwą i bezmyślną zieloną papugą, powierzona teraz szczególnej pieczy negra Alego, który pustej, gdy wypadło zaciągnięte pożyczki oddawać, żelaznej kasety, z kilku taliami kart tylko, nie miał co pilnować, prędko mu się nudzić zaczęła. Miał jeszcze w Warszawie stałą partję wista, gry, którą, jako rozumną i dyplomatom najmędrszym ulubioną, bardzo cenił, z słynnym konsyljarzem Czekińskim, także przypadłości pułkownika, jako to serca i wątroby, leczącym, i śpiewaczką Veglioni,

którzy się wzajemnie nie bardzo znosili, bo doktor był mąż poważny, surowych obyczajów, a Włoszka ze swego, dłuższego już życia zrobiła jedną arję miłosną, przeciągając ją tylko trochę zanadto, co się i najlepszym śpiewaczkom zdarza. Kiedyś—pułkownik był dyskretny i nie lubił zresztą skarg na spustoszenia, które sprawił, ale Włoszka w późniejszym wieku chełpiła się chętnie minionymi sukcesami — łączyły ich bliższe, przelotne węzły, gruchaniem ze strony jej, a złotem z jego strony dzierzgane—ale dzisiaj zdeklarowaną faworytką była mniej wymagająca papuga, i jej poprzedniczka pełniła tylko rolę ożywionego, aż nadto, ale również mało inteligentnego jak twierdził pułkownik, automatu do rozdawania i wyrzucania z siebie kart.

— Żebyś ty miała ręce, papużko moja... *n'est-ce pas, cocotte chérie?*—odwracał się do kołyszącego się za ramieniem jego ptaka w chwilach, gdy *cantatrice*, nieuważnie lub zapaliwszy się, króla własnego partnera biła swoim asem. Lecz, gdy Włoszka rzucała karty, przysięgając się na wszystkich świętych, że żadna *barbara soldatesca* nie jest bratalniejsza od obecnego w pokoju *traineur de sabre* i że więcej z nim nigdy, przenigdy grać nie będzie, pułkownik całował znowu z najpiękniejszym komplemtem jej *menotte*, która rzeczywiście była maleńka, jak u dziecka, tak że, czego co-

prawda głośno pan Adam nie wypowiadał, aż trudno było sobie wyobrazić, iż tyle *scudi* się w niej pomieścić zdołało.

Tymczasem doktor Czekierski oczekiwał długo z flegmą podjęcia kart na nowo, aż konkludował:

— Więc będziemy dzisiaj grać dalej, czy nie?

— Nie masz się, konsyljarzu, po co do swoich konsyljów śpieszyć. Każdy chory ma ten rozum, że nakoniec i bez ciebie umrze.—

Ale wtedy znowu Czekierski, pomimo ogromnej sławy na Warszawę i rzeczywistej wiedzy i zdolności na tego rodzaju żarciki jednak drażliwy, kładł karty i, słowa nie mówiąc, za łaskę hebanową z gałką z kości słoniowej brał, wynosząc się, tak, że rzadkim trafem trzy obowiązkowe robry szczęśliwie dobiegały do końca.

Z tem wszyskiem wiele rzeczy trwa długo jedynie siłą tego faktu, że trwają,—tak i partja wista pułkownika. Ale niecierpliwa jego natura, nie znosząca zbyt długiego *status quo*, wywołała ostatecznie katastrofę.

Cocotte, pasiona nadmiernie przez Alego ulubionemi ziarnami słonecznika, zachorowała. Pułkownik posłał po Czekierskiego i niepojętym wręcz sposobem, bo przecież potem weterynarz wojskowy w haftowanym mundurze chętnie i troskliwie się zajął tak miłą pa-

ejentką, doktor Czekierski obraził się na serjo. Może byłby się udobruchał, gdyby pan Nosarzewski nie zrobił jeszcze więcej serjo sceny o tę niedelikatność. Włoszka ofiarowała się, co prawda, grywać dalej z dwoma, ale nie-szczęściem, nadużywając wyjątkowej sytuacji, wyraziła się, że z trzema dziadkami, więc pułkownik zwrócił jej zirytowany uwagę, że zapewne Ali jest znacznie młodszy od niego i w braku adoratorów... Signora, nazwawszy niedwuznacznie wyszczerzającego zęby w zachęcającym uśmiechu Alego czarnem zwierzęciem w małpiej postaci, dostała spazmów. Kosztowało to pułkownika—brylancik i westchnienie.

W ślad za tem Ali przyczynił mu zmartwienia. Brak zajęcia początkiem złego. Ali rozkochał się w pokojówce z hotelu Wileńskiego, którego pułkownik stałym był gościem i wzajemności nie uzyskał, ale, dla swojej bogdanki, on, który dawniej ledwie kawałek cukru śmiał ściągnąć papudze, poszedł śladem okradającego grafa Buturlina Chińczyka.

To wszystko razem doszczętnie zużyło i gnębiło pana Adama.

— Albo się nudzę, albo irytuję. Rozmai-tości żadnej—utyskiwał.

I właśnie to najwięcej, a nie tyle, jak twierdził jego szwagier, mąż jego starszej siostry, Jabłonowski, strata finansowa, ponie-

siona przez grę, było powodem do kroków następujących:

Było to w połowie roku 1830-go, w Warszawie posepnie i cicho, chociaż tylko wtajemniczeni przewidywali gotujące się wypadki, gdy pan pułkownik, najmniej o nich myślący, nie biorąc nigdy w życiu publicznem udziału, zawołał do siebie męża swej siostrzenicy po drugiej swej siostrze, rejenta Antoniego Cyprysińskiego.

— Siadaj! — wskazał mu miejsce. — Chociaż młody jeszcze, prawnik przecież jesteś biegły, no i, słyszę, statuty banku polskiego układasz i Zamojsey ciebie się radzą i, że szwagier mój, Romocki, córkę swą tobie oddał, nie mógł mędrszego nie zrobić. Nie to, co mój szwagierek Jabłonowski, któryby najchętniej skórę ze mnie zdarł, i przeciwko temu masz mnie a i siebie — boć, po mojem najdłuższem, tfu, życiu, Jabłonowskiemu nie nie zapiszę, tego możesz być pewnym — teraz broń. *Je me remets donc à vos lumières, cher neveu.* —

Lecz *neveu* nie dosyć zdawał się zaszczyconym tym dowodem zaufania i zwierzonymi w sprawie, znanej mu zresztą dostatecznie. Pan pułkownik zwrót dóbr, skonfiskowanych ojeu, wpływami swymi odzyskawszy, nie myślał się niemi z rodzeństwem dzielić, uważając, że łaską Najwyższą jemu osobście są oddane. Może co do litery prawa miał rację, ale w każdym razie z widoczną

rodzeństwa krzywdą, które proces wszezęło. Proces ten, przegrany w sądach, ale wygrany w opinii publicznej, potężniejszej wówczas niż dzisiaj, zakończył się polubownie tymczasową ugodą, w której Adam Nosarzewski Jabłonowskiemu już za życia część swoich dóbr płockich, mianowicie majątek Szułmierz z przyległościami, Romoekiemu znaczniejszą resztę, dożywociem ją zatrzymując, odstąpił; dobra Kamieńca Litewskiego pozostały przy nim, jako własność osobista. Ale tak szwagrowie, mianowicie Jabłonowski, który stryjecznych mitrą książęcą zdobnych miał a sam, jak mawiał, nie po to się z szlachcianeczką płocką ożenił, żeby z nią dziadowskie pacierze i biedę klepać, gdy Romoeki na Sułkowie i kilku innych majątkach siedząc, a z żoną swą z miłości się pobrawszy, też przez wzgląd na nią spokojniejszego był usposobienia i więcej kapelą, którą sobie trzymał, zabawiał się, — jak więcej jeszcze pułkownik sam z tego układu nie był zadowolony.

I, nie mając się niczem innem zajmować, równocześnie nowem zajęciem straty w ostatnim czasie poniesione odzyskaniem odstąpionej Jabłonowskiemu schedy pokryć sobie wziął. Co przedstawiało tem więcej urozmaiczone zadanie, że z tym przeklętym galicjaninem, dumnym i zawziętym, nie dobrze było koty drzeć.

Ale właśnie takie ryzykowne perypetje pułkownik, niby jęcząc na nie, ogromnie lubił.

Więc gdy pan rejent Cyprysiński, grzecznie słuchawszy wujaszka, z całą attencją, ale zimno mu zdeklarował, że się tej sprawy i wznowienia procesu nie podejmuje, pułkownik go nazwał niewdzięcznym. Nie odstraszyły go także odmowne responsy i innych prawników. Znalazł się wreszcie jakiś kauzyperda, który akeję wszczął, przeciągając ją długo—bez skutku. Ale pułkownik od pomysłu bynajmniej nie odstąpił. Nie tak—to tak.

Wybrał się też zaraz do swego sąsiadującego z Szułmierzem Kozieczyna, akeję na miejscu rozpocząć. Tu mu jednak zabrał najpierw trochę czasu zatarg z innym sąsiadem, generałem Wincentym Krasieńskim z Opinogóry.

Posłał pan pułkownik wozy ze zbożem do Pułtuska. Pod samą Opinogorą, gdzie świeżo generał w podróży na ciężkiej ziemi kolasa, z wszelkimi przyborami do dłuższych peregrynacji, materacem rozkładanym i stolikiem do pisania, w ośm koni, sześć pocztywych, które mu się z rangi należały, i parę własnych, był atknął, tak, że go na rękach do pałacu przenosić musiano, przyczem, upuszczony, w błocie się skąpał, niezem w sprawie Bielińskiego, na rozkaz jego duchem reperowano drogę. Rządca, na którego głowę

pierwsze gromy z powodu jej haniebnego stanu spadły, zwałwał winę na wołami uprężone podwoły z Kozieczyna, które, tędy ładowne zbożem do Pułtaska idące, za głęboko się w ziemię hrabiowską worywały.

— Nie puszczać!—zakomenderował hrabia Wincenty.

— Jak mi wasan nie przejedziesz—zapowiedział swojemu nadpodstaroścemu pan Adam—to się wasan sam do kałuży połóż, a nie wracaj!—

Wobec tego, gdy główni dowódcy, nie popolitując się, za murami swoich rezydencji oczekiwali *belli eventum*, nieszczęśliwi wykonywacze ich woli gotowali się skóry nadstawić, ale, zdaje się, porozumiawszy się uprzednio, niby w pertraktacjach w karczmie przydrożnej zasiedli się przy butelece, gdy znowu ich podwładni z wielkiem wyładowywaniem najsiarczystszych przekleństw i groźnem trzaskaniem z batów mieli się rozprawić. Ale na tych homerycznych przygotowaniach zbyt wiele ludziom czasu schodziło, tymczasem wołki zniecierpliwiły się i, jak ruszyły, tak nie oparły się, aż o wiorstę za Opinogórą—skąd już nie było polecenia ich zawracać.

Kozieczyńscy więc tryumfowali, a z nimi pan pułkownik.

Jenerał przyjął tłumaczenia swej strony dosyć kwaśno, ale uznał, co znaczy *vis major*.

— Mur postawić!—

I stanął mur, na cztery łokcie wysoki a dwa gruby.

Nie dowierzając nie tyle impetowi ile dobrej woli swych czworonogich sprzymierzeńców, pułkownik już rozmyślał nad tem czyby z Modlina armaty nie pożyczyć, ale—książę Konstanty byłby może wybryk, nie pozbawiony hamora, darował, lecz nie przeciwko swemu faworytowi. Trzeba było dać pokój i tem więcej obrócił się teraz ferwor pana Adama przeciwko szwagrowi.

Ten siedział tymczasem, nie bez pewnego zaniepokojenia wobec niespokojnego sąsiedztwa, w Szułmierzu i samował. Bo był statysta i z wszelkich, nawet najmniejszych objawów zewnętrznych wyciągał głębokie wnioski. Był to starzec, pańskiej postawy, w pudrowanej peruce, z laską w ręku.

Podpierając się, wolnym krokiem chodził po szpalerach ogrodu szułmierskiego nad stawami, niecierpliwiąc się, gdy się czasem bzykający komar zameldował, a cierpliwie znosząc potoki wymowy cieszącej się wielkimi jego łaskami starej baby, na łaskawym chlebie przy kuchni przytulonej, Bartłomiejki. Była stara i brzydka, że najpodejrzliwszy nie byłby znalazł w tych spacerach nie zdroźnego. To też służyła ona panu tylko ku wypoczynkowi umysłowemu, bo nie tak umysłu nie odświeża, jak wykąpanie się w źródle szcze-

rej głupoty. Z tej maksymy wychodząc, cenił wiele swego ekonomia vel rządęc, Smuskiego, i gdy ten z kukania kukułki na wiosnę nieomylnie wojnę wróżył, przyjmował to z równie niewzruszonym spokojem do wiadomości, jak raporty gospodarcze, koncentrujące się w różnych klęskach, jako że starsze woły popadały wszystkie, a że młodych wcale niema, więc niewiadomo, co będzie.

— I mnie niewiadomo, panie Smuski, ale powoli, zastanowiwszy się wspólnie, może dalszej *calementé* zapobieżymy.—

I Smuski namyślał się nad tem, czy pan może padłe stare woły znów do życia powoła, czy młode stworzy.

List, w którym szwagier domagał się kategorycznie natychmiastowego zwrotu Szałmierza, wywołał w panu Józefie Jabłonowskim niejaką *perplexité*, ale, namyśliwszy się nad nim trochę, dał odpowiedź, ministerjalnie wystylizowaną, aby mogła znaleźć miejsce w archiwach familijnych. Były tam i lekkie aluzje do mezaljansu i przytyki do tych, którzy w służbie obcej szukali szczęścia, wołąc to, niż służyć ojczyźnie—bo Jabłonowski sam, chociaż tylko dyplomata, Polak był zapaleczywy—i o podstawach kardynalnych prawa zasady, wyjęte z kodeksu napoleońskiego, naskicowane ogólnoludzkiemi refleksjami, jakie dał Jean Jacques Rousseau.

Nosarzewski nie odpowiedział nic,—co

było tem więcej niepokojące. Jego szwagier nieodmiennie codzień w najokrutniejsze gorąco południa, bo sypiał długo, wychodził, w tych razach w asystencji Smuskiego, za wieś pod krzyż przy drodze ku Kozieczynowi i, przystłoniwszy od blasku słońca oczy ręką, spoglądał długo w stronę, skąd się, jak dotąd, żadna nowa chmura nie pokazywała. Co ten szlachcic tam robi, co zamierza?..

Co się tyczyło zamiarów pułkownika, niebawem pan Jabłonowski nie miał mieć względem nich najmniejszej wątpliwości. Chaim Wosk, faktor, przyniósł wiadomości, potwierdzające się z innych źródeł, że pułkownik sąsiadów swoich, drobną szlachtę, panów Szczepankowskich ze Szczepanek, pijąc z nimi, z wielkim uszczerbkiem dla swego zdrowia, ale zyskiem popularności, kaptuje i, niby w pół żartem, w pół serjo, werbuje na najazd na Szułmierz. Robi także jakieś tajemnicze wyprawy do granicznego miasteczka Janowa. Antreprzyza taka, już od lat dwudziestu nie zdarzająca się, wydawała się jednakże zagrożonemu tak niesłychaną, że, więcej folgując ostrożnością, a nie śmiejąc się cieszyć na myśl, iż szwagierek w przygotowaną pułapką wpadnie i dyshonor go spotka, czaty rozstawił i służbę dworską trzymał w pogotowiu.

Jednakże dzień za dniem mijał i—nic. Pan Jabłonowski wybrał się znowu, w towarzystwie wiernego Smuskiego, ku traktowi pod

krzyż. W poprzek drogi wiejskiej ułożył się wół, jeden z niedobitków, tamując przejście.

— *Allons!*—rzekł pan Jabłonowski, powiewając wonną jedwabną chusteczką. Ale wół nie myślał się ruszać i dopiero, kiedy Smuski kopnął go silnie, dźwignął się, rycząc, i oddalił się powolnie.

Pan Jabłonowski zwrócił uwagę Smuskiego, że nawet zwierzętom przez złe obchodzenie się z niemi nie trzeba krzywdy czynić.

— A gdybym ja pana kopnął, panie Smuski, cóżbyś zrobił?—

Ekonom namyślił się, według recepty swego pana, nad logiczną odpowiedź. Wreszcie czoło rozjaśniło mu się.

— Proszę łaski wielmożnego pana,—nie zaryczałbym.—

— Nie jest to odpowiedź, którą dać należało, panie Smuski. Myśl pan dalej.—

Tymczasem podeszli do zwykłego punktu obserwacyjnego; z widniejącej w oddali kępy drzew, otaczającej skromny domek kozieżyński, chwilową rezydencją pułkownika, nie się nie ruszało. Stwierdził to Smuski równie dobrze gołym okiem, jak pan jego przez perspektywę, konkludując, syt myślenia:

— Nie stamtąd nie widać.—

— Jak to czasami najprostsza uwaga

słabiej pojmującego rozumu naprowadzić może na myśl nową, zgoła trafną! Panie Smuski, pan pułkownik, jako wojskowy, a zatem obeznany ze strategją, zapewne nie nadejdzie z tej strony, z której go przeciwnik oczekuje.—

I odtąd wychodził na drogę ku Ciechanowu, w stronę przeciwną. Tu sąsiadowali panowie Kołakowscy z Kołaków i Smuski rzucił myśl zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek ich pomocy.

— Nie pozbawiony jesteś zupełnie daru kombinacji, panie Smuski, ale sroka sroce oka nie wykole—odrzucił pan jego tę propozycję,

Gdy pułkownik nie nadeiagał, spadł nagle pewnego przedpołudnia do Szułmierza młodziutki Konstanty Cyprysiński, brat reagenta, a który miał później, wyszedłszy jako porucznik z rewolucji, odegrać pewną rolę w dziejach emigracji, o czem bliższe szczegóły w Guttrego historii tejże.

Tymczasem drukował wiersze patriotyczne w „Orle Białym“ i obecnie musiał wyjechać z Warszawy, dążąc do Sałkowa.

Pan Jabłonowski na szczęście już był przy śniadaniu. Sumitującemu się z rannej wizyty młodzieńcowi rzekł tylko: — Nie to, wiedz aść, że w Płockiem gorszy *savoir vivre*, mój szwagier Romoeki, chociaż przecie pole-

rowańszy od tego niedźwiedzia Nosarzewskiego, a raz mi o świecie z kapelą przyjechał i kuranty wygrywać kazał, gdy jeszcze spoczynku we śnie zażywałem. — Pakaż aś, coś tam znowu napisał. —

Wiersz ostatni, przyczynę opuszczenia stolicy, pochwalił, że całkiem pana Niemcewicza przypomina, i młodzieńca na wieczór zatrzymał, czem ten miał stać się świadkiem i współaktorem pamiętnych wypadków dnia tego.

Właśnie miano, po uspakajającej a pożytecznej dla konkokeji dwukrotnej w dniu tym przechadzee ku Ciechanowu, zasiąść do późnej, zwyczajem Jabłonowskiego, wieszery, gdy wpadł chłopak bosy, zwykle gęsi pasający.

— Juz jadą! —

— Jakże to? — pan Jabłonowski zdumiał.

Chłopak, ze względu na nie przypisywane mu zdolności, miał powierzony sobie posterunek najmniej ważny, pod lasem, przy drodze do Janowa.

— Dyć od boru. —

A wtem, zziajana, uprzedzając pokazującą się za nią czatą, wtargnęła i Bartłomiejowa.

— Som. Ta ślachta głupia z Scepanków, wej od Kozicyna, a krzycą a śpiewają...

— Niech Bartłomiejka tak z przepro-

szeniem, ozorem nie zawija, bo jeszcze go zwiehniet—burknął zły, Jabłonowski. — Każdy na swój posterunek!—

Zamiast szpady, przypasawszy wiszącą nad łóżkiem zdobną karabelę, po hetmanie pono, wypadł do ogrodu, z karabinem austriackim w rękę; gość porwał za starą guldynkę.

Księżyc w pełni był wylazł na niebo, czerniejąc ciemniami nozdrzy w okrągłej twarzy.

— Patrz aść, zupełnie ten *sacré* Nosarzewski!—

Tentent koni i wycie głosów ludzkich rozlegały się już w opłotkach wiejskich.

Nosarzewski z Janowa wydobył ćwierć sotni konsystujących przejściowo nad granicą kozaków. Zwolniwszy się sam wyjątkowo z danego sobie przyrzeczenia, przegrał do znajomego wojskowego znacznieszą sumę, spoił go i wypożyczył od niego wiedziony przez siebie teraz oddział. Pretekstem miało być uśmierzenie niby opornych w czynszach chłopów. Liczył na swoje wpływy w zatuszowaniu awantury. Na grubej bułanej kobyle, trzęsącej go niemiłosiernie w ciężkim kłusie, z papugą, z którą się przesądny gracz, jako *porte-bonheur*, nie rozłączył, wzlatującą mu z ramienia, z negrami Alim i Hassanem, trzęsącymi się przy niezwyklej ekwitacji go-

rzej od niego, po bokach, wprost z Janowa, mając przygotowaną, za hasłem przez umyślnego wyruszającą na oznaczoną godzinę szlachtę z Szczepanków, wiódł skombinowany zajazd.

Kozacy, podlani dobrze wódką, wjechawszy do wsi, zdradzili ochotę rozbieżenia się po łatwiejszych do szturmowania chatach, ale pułkownik umiał zakomenderować i, wzięwszy ich w garść, na czele galopem już paścił się ku dworowi.

Wyjąc pędzili jeźdźcy.

Trzeba było, aby się dostać od frontu na dziedziniec, minąć całą długą linię ogrodu oparkanionego, na który wychodził tył domu. Z schodów werandy ogrodowej zagrała galdynka. Młody Cyprysiński zmierzył do migającego za parkanem, sunącego jak gdyby po nim, kozaka. Jeździec przykucał na siodle, zrywając konia, kula musiała mu gwizdnąć bliźiatko ucha, ale już galopował dalej.

— Za ostro aś mierzył, za ostro! — zganił Jabłonowski i, wiodąc lufą po ostatnim jeźdźcu, prowadził ją za nim tak długo, aż ten zniknął za klombem.

— Przecież... już przejechał! — wyrwało się młodzieńcowi.

— A rzeczywiście, — przejechał! — powtórzył niechętnie Jabłonowski.

Tak to młodość bywa zbyt gorącą, lecz

przyganiająca jej starość nieraz tak długo mierzy, aż chwila przeminie niepowrotnie.

Obrońcy cofnęli się do domu. Tam tymczasem z pomocą służby pani Jabłonowska, potulna wobec męża, ale zabieглиwa i dzielna niewiasta, jak tylko Polki być umieją, zataraśowała drzwi i okna, tak, że gdy wroga konnica wraz z prawie równocześnie przybywającymi Szczepanowskimi wpadła na dziedzińiec, zastała przed sobą fortecę, trudną do zdobycia przez atak kawalerji.

Padło kilka strzałów do okien, pozostawiając w ścianach ślady, pokazywane długo później, załomotały drzewca spis i rękojeści szabel do drzwi, ale i obrońcy odpowiedzieli strzałami i jęk jednego z napastników dał świadectwo, że tym razem któryś strzał trafił.

Zreflektowało to, chociaż postrzał okazał się nieznacznym, trochę armię, gotową do zajazdu, ale nie do zaciętej rozprawy. Odstąpili za drzewa i krzaki. Nosarzewski, zrozpaczony, dawał wódki, ile negrom, kłapiącym zębami ze strachu, ale gorzej obawiającym się gniewu pana, niż kul, kazał zabrać, i pchnął Alego, co koń wyskoczy, do Koziaczyna po większy zapas, obiecując mu głowę ściać, jeżeli za kwadrans nie wróci.

Oblężeni tymczasem, pomimo odparcia pierwszego ataku, czuli beznadziejność sy-

tuacji. Tylko kamerdyner i kucharz pomnożyli załogę. Na czaty i parobków nie było co liczyć: nie ważyliby się i nie mogli natrzeć na regularne wojsko.

— Więc po co ten Smuski po nich poleciał?— żalił się, niepomny swoich własnych, ku temu ongi skierowanych, dyspozycji pan Józef.—Zawsze byłaby jedna strzelba więcej. Oj, najgorzej z głupimi!—

Minęło pół godziny w niecierpliwym oczekiwaniu. Część szturmujących podstąpiła znowu, pomimo strzałów, niepewnych przy przerywanem czarnemi smugami cieniów oświetlenia księżycowem, bez straty, tylko pod drzwiami same, kupiąc się na ganku wehadowym, gdzie ich kule z otworów okiennic nie mogły dosięgnąć. Drzwi zaczęły trzeszczeć pod rękami.

Wtedy Jabłonowski wpadł na myśl, w tem rozpaczliwym położeniu może jedynie mającą, chociaż nie wielkie, widoki powodzenia. Założył swoją z Austrii przywiezioną szarfę orderową, gwiazdę przypiął, poczem, krzyknąwszy przez drzwi, żeby odstąpiono, bo chce wyjść dobrowolnie, rygle cofnął i, z pistoletami jednakże w rękę, stanął na ganku,— wysoki, dumny, pański.

Liczył, że, jeżeli pomiędzy żołdactwem jest jaki oficer, przecież, zwłaszcza pod impresją gwiazdy orderowej, gadać z sobą po-

zwoli, może się cofnie. A krwiożerczości szaraków z Szczepanków tak się dalece nie obawiał, ani gwałtu na osobie starca wielkiego nazwiska.

Ale nieszczęściem wypożyczeni przez Nosarzewskiego żołnierze byli bez oficera, z których żaden nie byłby się podjął uczestnictwa w tej bezprawnej wyprawie, i na za pytanie w tym sensie Jabłonowski usłyszał szyderyczy głos szwagra:

— Al poddaje się książę pan. Przypieczętujemy tę umowę na jaśnie oświeconej skórze!—i pułkownik machnął ręką ku nahajkom.

Na to już Jabłonowski nie wytrzymał, ręka wleciała mu ku górze. Szczęściem żona, która, pomimo katorycznego rozkazu: „Zostań Pani!“, stanęła wraz z młodym Cyprysińskim przy nim, porwała go za ramię. Pistolet wypalił,—z krótkim skrzekiem z ramienia pułkownika pod nogi mu spadła papuga.

— Ubit' jowo! — wrzasnął rozwścieklony Nosarzewski.

— Bracie, to mój mąż! — zakrzyknęła pani Jabłonowska.

— Winszuję pani siostrze wyboru.—

Jabłonowska nagłym ruchem rozkrzyżowała ramiona przed mężem w obronie od pohańbienia, ran, jeżeli nie śmierci.

Ale żołnierze niespokojnie nastawili uszu na zgiełk, dochodzący od drogi ciechanowskiej, oglądając się na gnającą od tej strony, co sił w chabetach, nieznaną czeredę. Pan Smuski, nie deliberując długo, popędził oklep po szlachtę Kołakowską; niepopularność i wielkopańskie allury pana Jabłonowskiego w mig zapomniane zostały wobec krzyku: Pomocy, biją naszychi!

Kozacy odstąpili, na wszelkie przełożenia swego dowódcy, mając tylko lakoniczne:— Niema rozkazu, wasze błagorodje.

— Marsz do domu, hanewoty!—zdecydował wreszcie zniecierpliwiony.

O tem, żeby się Szczepankowscy, spokrewnieni i pokumani z Kołakowskimi, mieli wzajemnie z sobą potykać, nie było ani co marzyć, jeno myśleć o salwowaniu własnej osoby.

Więc pułkownik, zły z przegranej batalji, pognał, rzucając resztę armji, samotrzeć z Alim i Hassanem do domu, jeszcze rad, że nie było pogoni, tylko kilka kulek zaszeleściło za nim nieszkodliwie po gałęziach.

Szczepankowscy z Kołakowskimi pod łauską prezydencją pana Jabłonowskiego zapili sprawę.

Na placu boju pozostała tylko jedna ofiara—papuga.

Tę Jabłonowski, z pierzastych trofeów

oskubaną, posłał na drugi dzień szwagierkowi „na rosołek“, wraz z zapowiedzią poszukiwania na nim przed forum sądów koronnych kar gwałtu publicznego.

Wybuch powstania listopadowego sprawił, że sprawa ta pod grozą ogromniejszych wypadków utonęła w niepamięci i z nią ostatni zajazd na Mazowszu.

Pałkownik Nosarzewski doczekał się jeszcze dwóch satysfakcji: że generał Krasinowski synową, bez miłości synowi narzuconą, gdy ten wolał pod drzewem, pokazywanem po dziś dzień w parku opinogórskim, poezji składowaniem się zajmować, sam godzinami musiał zabawiać, i śmierci szwagra, któremu skomponował takie epitaphium:

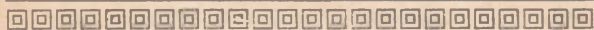
Tu spoczywa z łaski Boskiej
Mój szwagierek Jabłonowski,
Co nakoniec, ległszy w grobie,
Dał spokojność mnie i sobie.

The first of these was the
 discovery of gold in California
 in 1848. This discovery led to
 a great influx of people to
 California and the West. The
 second was the invention of the
 steam locomotive in 1825. This
 invention made it possible to
 travel long distances quickly
 and cheaply. The third was the
 invention of the telegraph in
 1844. This invention made it
 possible to communicate over
 long distances. The fourth was
 the invention of the telephone
 in 1876. This invention made
 it possible to talk to people
 over long distances. The fifth
 was the invention of the
 automobile in 1885. This
 invention made it possible to
 travel long distances quickly
 and cheaply. The sixth was
 the invention of the airplane
 in 1903. This invention made
 it possible to travel long
 distances quickly and cheaply.

THE HISTORY OF THE UNITED STATES

The seventh was the invention
 of the radio in 1906. This
 invention made it possible to
 communicate over long
 distances. The eighth was the
 invention of the television in
 1927. This invention made it
 possible to see people over
 long distances. The ninth was
 the invention of the computer
 in 1946. This invention made
 it possible to do calculations
 quickly and cheaply. The
 tenth was the invention of the
 space shuttle in 1968. This
 invention made it possible to
 travel to space.

ŻOŁNIERZ W. Ks. KONSTANTEGO.



Kto brzydką pocałuje, podwójnie tem grzeszy i Boga obraża i bliźnich tem śmieszy,— więc bądź mi Waćpan wierny, pamiętaj, bo— i różowy paluszek wzniosł się groźnie ku górze, uwięziony w tej chwili przez wyciągniętą łapczywie dłoń męską, poczem skrył się wśród wąsów, ocieniających usta tak gorące, że dotknięcie ich przenikało rozkosznym dreszczem od owego paluszka aż do wielkiego palca lewej nóżki, podrywającej się już do ucieczki.

— No dosyć już, dosyć, daj Waćpan pokój,—brzmiał głosik figlarny, ale nie bez przymieszki tęsknoty i niepokoju.

— Nie ugryzę Waćpanny.—

— Jeszczeby też! — pani ciotka nadchodzi.—

Pani ciotka tak chrapała w pokoju sąsiednim, że aż modrzewiowe ściany szlachec-

kiego dworku się trzęsły, zachwiane w posadach stuletnich, ale mężczyźni z reguły tak lekko się dadzą wywieść w pole najprostszemu podstępowi niewieściemu, że zakochany na umór pułkownikowicz Henryk Sieniecki, ani się obejrzał, jak został sam z wyciągniętą jeszcze ręką i oczyma wlepionemi w drzwi, zamknięte i mówiące mu wyraźnie niemą mową przedmiotów, nieczułych na ludzkie cierpienia: A psiki!

Szczelina niebios otwarła się raz jeszcze i zachichotał głosik ubóstwionej Tekluni:

— A jak się raz coś trzyma w rękę, to się snadnie nie puszcza,—gapa z Waćpana!—

Co tak ubodło pana Henryka, że zaklął półgłębko: „Djabeł, nie dziewucha“,—i patrząc się żałośnie na dłoń rozwartą, z której uleciał ptaszek figlarny, poprzysiągł, że prędzej mu na niej włosy wyrosną, niż drugi raz wypaści z silnego ujęcia to, co raz w niem trzyma.

A na to męskie postanowienie spłynął wraz balsam pociechy w szepniętych jeszcze przez fartkę niebieską żałośniejszymi słowach:

— Damy warszawskie pono niebezpieczne...

— Jeśli zazdrosna, to widać kocha, — moją ty będziesz, mój ptaku wdzięczny, moje słiczne kochanie!

Promień słońca wdarł się mimo zam-

kniętej szczelnie od żaru lata żaluzji zielonej i poszybował jasnym, drgającym złotem iskrami pasmem na ścianie od nieustraszonego oblicza Rejtana do kościstej twarzy Kościaszki, zawisając na chwilę złotym krągiem na dłoni pułkownikowicza, tuż obok krwawnika sygnetu. Dobra wróżba. Tymczasem jednak połączenie śluby małżeńskimi dwojga serc, nanizanych jedną strzałą amora, na dalekim wisiało planie.

Matka panny Tekluni, pani Barbara Gałka, także Gałka z domu, że była kobietą, zawdzięczała tylko temu, iż kogut zapiał nie w porę w godzinie jej przyjścia na świat, czem płęć dziecięcia z męskiej na żeńską zmienił. Ale przypóźno...

Hic mulier—mąż drapnął przed nią, niczem przed nim samym Hiszpanie ogniści i zimni Angliey w iberyjskiej kampanji, na świat tamten i lepszy, gdzie bez ochyby, wy-czerpawszy już pokutę na ziemi, łatwiejsze za figle z markietankami i innemi zamorskimi djablicami, niż u małżonki swej, przebaczenie uzyskał.

Malutka, okrągłutka i pulehniutka, różowa, niegdyś weale powabna blondynka, za młodu zwana bułeczką krakowską, kryła w sobie niezwykłą z tą powłoką samodzielność, przeradzającą się z wiekiem w skłonność do absolutnego regimentu. Znali ją sąsiedzi

w Piotrkowskiem, znały sądy i bały się jej, pomimo drwin niepocziwych jurystów:

Gałka z dala,
Gałka z bliska,
Gałka z rodu
I z nazwiska.

Skarżył się żałośnie na nią sąsiad, imię pan Więckowski Paweł z Toporzyna:

Mnie wielec Szanowna
Imię Pani Dobrodzieyko!

Parobek ze wsi moiej, ymyeniem Kuba, amatorami do dziewczki z folwarku, do dóbr Wielmożney Pani Dobrodzieyki, Pękosławice, należącego *nomine* Katarzyna Karpik, zapalawszy, zbiegł mi i ludziom moyem, za nim wystanem, się schował. Zaczem Wielmożną Panią Dobrodzieykę upraszam, zbiega mi odstawić, zaś Karpikównie ostro zagrozić, aby się w żadne *de novo* konszachty, bałamutne tylko, z niem nie zadawała. W słuszney pewności, że Wielmożna Pani Dobrodzieyka pokornej prośbie moiej satisfakeye dać raczy, piszę się

Jako najniższy Jey sługa
Paweł Więckowski.

Jednakże sąsiadka dobrodziejka, że człowiek roboczy był łakoma rzecz, wydać parobka nie chciała, aż do sądu poszło.

Ale za to protegowanie amatorów cudzych skarał ją Bóg na tem, co miała najmilszego twar demu sereu. Jedynaczka jej była z wyglądu podobizną pani matki, tak samo okrągłutka, aż ochotka brała poklepać, ale serduszkó miała miększe. Raz w życiu, krótkiem jeszcze, bo ledwie ośmnaście wiosenek liczącem, ze stron rodzinnych z domu matki, gdzie w ostrej żyła klauzurze, do krewnych w Lubelskie wyfrunęła, i ot bieda! Jak to bywa, gdy takim piskłętom, nie wypierzonym jeszcze, pozwolić z pod skrzydła macierzyńskiego się wymknąć. Pani Barbara kłęta, jak napoleoński gwardzista, — ten hołysz, śmiał a ta głupia! — Po najposażniejszą od Piotrkowa o piętnaście mil polskich wokoło pannę oczywiście w te pędy poszedł. Że ładna, nie zawadziło. Próżno Teklunia, łzy gorzkie lejąc, za miłość szczerą i gorącą adoratora ręczyła. Odrzucała te zapewnienia matka jednym słowem: golec. Jak gdyby ten stan do miłości był przeszkodą.

— Na oczy go widzieć nie chcę, tego ślicznego gagatka, niech mi się nie waży przyjeżdżać, — psami wyszczuję. —

— Gdyby go mamunia i charakter jego idealny poznała...

— Nie ciekawam: golec. —

A Zagraj i Lutnia już kłami kłapały tak chewicie, jak gdyby łydki przeznaczonej im na

pastwę ofiary wietrzyły w pobliżu. Beczała więc biedna Teklunia dalej, nieczuła matka zaś nie wiele sobie z płaczu jej robiła, twierdząc, że łzy panińskie, jak deszcz majowy, te oczy odświeżają, tamten ziemię. Ale, że więcej się znała na agronomji, niż na serecach, więc nie miała racji.

I tak nie poznała aspiranta do godności swego zięcia. A szkoda, bo Henryk Sieniecki był ślicznym chłopcem, którego widok i na najzawziętszą przeciwko niemu niewiastę jakiegobądź wieku mógł przychylnie podziałać. Średniego wzrostu, ale doskonałej postawy, szatyn niebieskooki, lat dwudziestu kilku, wdzięcznej a jędrnej harmonji całego ciała, której sam bożek Apollo mógł mu pozazdrościć.

Ale, ale... właśnie komornik tradował mu wioseczynę, na którą jeszcze ojciec jego na służbę krajowi a kwaterunki wojskowe i kontrjucje zaciągnąć musiał sumy, zjadające dochody procentami. Z determinacją oczekiwał tego momentu pan Henryk, czując się wolnym od winy, i tymczasem na gitarze w takt bardzo pięknej piosenki o miesiącu i Filonie, którą Teklunia śpiewała, pobrzdąkiwał. Tak, były to piękne chwile. Wujostwo Tekluni, u których w gościnie bawiła przez tajoną, ale od czasów jeszcze działów familijnych tłącą niechęć do pani siostry, jak

twierdziła pani Barbara, na gruchanie to patrzyli przez szpary. Z wyjazdem bogdanki zszedł się dzień feralny, w którym Henryk znalazł się z dziedzica—niczem. Szczęśliwym trafem jeszcze jakieś tysiąc paręset złotych przy licytacji dłań wyszło. Plan młodzieńca, syna żołnierza, już był gotów. Gdyby nie chęć ratowania ojczystego zagonu, byłby go wykonał od dawna. Rola, lub szabla,—wszakżeż to jedyny wybór był dla szlachcica. Gdy więc roli zabrakło, wahał się tylko, czy do bliskiego Zamościa podążyć, gdzie stał sztab drugiej dywizji wojsk Królestwa Polskiego pod generałem Edwardem Żółtowskim, czy do stolicy dobieć. Tam, pod okiem naczelnego wodza, widoki awansu mogły być większe, lubo i znana jego surowość w wymaganiach służbowych, a niepohamowana gwałtowność szybki kres mogła położyć wszelkiej karierze.

Przeważyła wiadomość, pantoflową pocztą doszła, że Pani Gałka z córką do Warszawy zjeżdżają. Prawo w Piotrkowie nie umiało nadążyć za argumentacją pani Gałeczyny. Takie koszta biednej wdowie za parę zagryzmołonych arkuszy papieru! Jechała do ministra Lubeckiego na skargę.

— Ciebie smarkatko, samej już nie zostawię—pakuj się zaraz w drogę.—

O czem się w porę, a z uciechą dowie-

dział przyszył wojak, aczkolwiek nie o niepo-
chlebnym epitecie do zadartego noska lubej,
cechy wesołego zazwyczaj temperamentu.
Panna Tekla, jako prawdziwe polskie dziew-
czę, w zasadach starodawnych wyrosła, w żad-
ną czułą korespondencję z tym, z którym
jeszcze pierścionkiem nie była związaną, ni-
gdyby się nie była wdała, ale wieści pomię-
dzy ludźmi kochającymi się przebiegają ja-
kimiś dziwnymi sposobami, znanymi pod na-
zwą domysłności serca.

Chociaż najwięcej do mandaru ułańskiego
go się dusza śmiała Henrykowi, ekonomicz-
niej przedstawiała się infanterja, i po krótkim
namyśle padł jego wybór na czwarty pułk pie-
choty, ulubieńców Warszawy, w którym znał
kilku z panów oficerów.

Już w kilka dni później, złożywszy swe
losy w ręce tychże, ale jeszcze niepewny skut-
ku ich instancji w dostaniu się do tego wy-
borowego pułku, z ściśniętem nieco sercem
błądził Sieniecki po ogrodzie Łazienkowskim,
gdzie, z pośród drzew ciekawie wyglądając,
nimf białych kamienne posągi, stęsknione za
dworem króla Stasia, wrywały się zalotnie
z objęć faunów ku dorodnemu przybyszowi,
mierzył niecierpliwie czas na kamiennej tar-
czy, na co z podełba urągliwie spoglądał
dźwigający ją satyr, — pytający przyszłość
wzrok kierował z mostku, wiodącego przez

strumień, ogród przepływający, po nad grzybek na filarach oparty na miniaturowej wyspie, ku bielejącym ścianom Belwederu.

Na strudze trzepotały się łabędzie.

W parę tygodni po przybyciu nowy czwartak wykomenderowany został, co dowodem było niezwykłych postępów w mistrze i zadowolonia pułkownika Ignacego Mycielskiego, wraz z jednym z starszych kamratów do pełnienia służby tamże.

— *Ça ira* — pogwizdywał z zadowoleniem jego porucznik, Ludwik Skarzyński, a sierżant Godziemba upominał zaledwie po raz szósty:

— A gdy waćpanom przyjdzie przed naczelnym wodzem stanąć, przytomności nie tracić, a politycznie się sprawić. —

Z tą salomonową radą pożegnał dwu młodzieńców.

Towarzyszem Henryka był niejaki Szymoński, paniczkowy, chociaż z ekonomów. Mówiono, że ojciec jego kasę pułkową, przy odwołaniu wojsk francuskich zakopaną, odnalazł i tem się odrazu na obywatela wypromował. Luluś był, mocno o siebie dbający.

— Meldować się Jego Cesarzewiczowskiej Mości—zabrział obu donośnie w uszach rozkaz adjutanta.

Rozkaz ten nie był niespodziewany. Wiel-

ki Księżę żądny był znać każdego z swych żołnierzy osobiście.

Wyprężeni jak struny, sztywni jak posągi, stali przy drzwiach obszernego gabinetu, w którego przeciwległym końcu Wielki Księżę stał oparty jedną ręką o biurko, obok faworyt chwili, generał Rautenstrauch.

— Naprzód, marsz! —

Nad pustym środkiem pokoju lśnił ogromny pajak kryształowy, zawieszony dość nisko.

By dostać się przed oblicze Wielkiego Księcia, trzeba było albo przeszkodę niemiłą ominąć, albo...

I w trzy sekundy, kryształ pająka, brzęcząc, leciały gradem szklanym na posadzkę. Sieniecki przerznął się, na linię nie zbaczając z prostego kierunku, nie drgnąwszy nawet, przez słabą zaporę, co prawda nie bez znacznego zdezolowania tejże. Lecz nawet kaszkiet, silnie wedle regulaminu pod brodę podpięty, nie skrzywił się na głowie przytomnego junaka.

— *Charaszo, wot maładiec!* — wołał, klaszcząc w dłonie, zachwycony rezolatem Konstanty.—Szymoński stał—niezdecydowany.

Jak jego karjera wojskowa tym brakiem decyzji była zapieczętowana, tak według ogólnej opinii, która z chyżością skrzydeł sokolich rozbiegła się po Warszawie, Sienieckiemu otwierały się wrota zaczarowanego pała-

ca świetnych szybkiego awansu nadziei. Wydzierano go sobie w towarzystwie, z dnia na dzień stał się ulubieńcem dam, sławiących na wyścigi męstwo i urodę chwata. Doszło to larum głośne i do pani Barbary i osiągnęło ten w każdym razie skutek, że przestała nazywać Teklunię—głupią. Była zbyt praktyczną, żeby nie rozumieć awantazy, które dały animuszowi przypadek wespół ze stanowczością, ukoronowane łaską najwyższą. Toż Zajęczek tytuł książęcy uzyskał, przypięty jak kwiatek do kożucha, a jaka oranżerja w donacyjnym Opatówku!

A że każdy szczegół, dotyczący bohatera, interesował także opiekujące się nim damy stolicy, więc i historia nieszczęśliwej miłości nadobnej pary stała się wprędce znaną. Doszła i do uszu ks. Łowieckiej. I efekt to jej instancji był, że pan Henryk nagle otrzymał wezwanie do stawienia się przed obliczem pani Barbary.

Gdy wszedł do staroświeckiego saloniku na Bielańskiej, gdzie w domu krewnych zajęła była apartamenta, na pierwsze ujrzał tylko wymierzoną na siebie dwararkę długiego lorgnona, którym niewiasta w kształcie kuli, na czubku mechem siwiejących włosów pokrytej, oglądała go od stóp do głowy.

— Przejdź no Waćpan przez salon tam i napowrót,—zakomenderowała, nie odejmując oczu od szkieł.

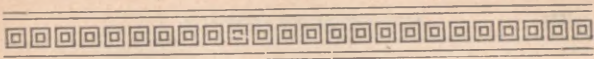
Żądane ruchy strategiczne wykonał pan Henryk z precyzją. Pająka na szczęście nie było.

Staruszka objęła badawczym okiem każdy szczegół harmonijnej, w opiętym, granatowym z białym mundurze tem kształtniej awydatniającej się postaci swego przyszłego zięcia i zreferowała ten egzamin nakoniec ku trwożliwie z za jej pleców wyglądającej Takłuni:

— Ładny, bo ładny,—nie dziwię się waćpannie, że głupstwo robisz,—przebaczam!

SZTURM SEWASTOPOLA.

STURIA SEVASTOPOLJ



W maju roku 1851-go markiz de la Valette w imieniu trzeciego Napoleona zażądał od Wysokiej Porty wydania kopuły Grobu Świętego i innych miejsc świętych w Jerozolimie, zagarniętych przez Greków, w ręce wiernych obrządku łacińskiego.

Krok ten Francji, jako protektorki kościoła katolickiego na Wschodzie, miał się stać hasłem do jednej z najdziwniejszych wojen dziewiętnastego stulecia, wojny religijnej, chociaż pozornie tylko, bo toczonej *de facto* o preponderancję w Europie pomiędzy mocarstwami, połową tejże przedzielonemi od siebie, koncentrującej się finalnie w zakątku Morza Czarnego, na półwyspie krymskim. Tu Francja i Rosja podejmowały nową walkę o hegemonię świata.

Marszałek Arnaud, Jacques Achille Leroy

de Saint Arnaud, głównodowodzący wojsk francuskich, zaasznik, współnik spisku i wierne narzędzie cesarza Francuzów, splamiony wszystkimi skazami nowoczesnego kondottiera, ale niezaprzeczonej, szalonej energii i odwagi, nie szzczędzący ni kogo, ni siebie, pobił pod Almą odsiecz, zdążającą na pomoc zagrożonemu Sewastopolowi, i wraz z swym sprzymierzeńcem angielskim, lordem Raglanem, weteranem z pod Waterloo, stanął przed tym najpotężniejszym arsenałem Rosji, od którego posiadania zawisły losy całego południa tejże, z armią sprzymierzoną, która, jeden z dziwów tej dziwnej wojny, nie przenosiła z początku liczbą oblężonych,

Wśród pałków francuskich znajdowała się, jak zawsze, tak i tu, na pierwszy ogień posyłana — nie dziwota, obca krew! — legia cudzoziemska — z znacznym kontyngensem Polaków.

Nie brakło ich i w armii rosyjskiej.

Losy dwóch rodzono-stryjeckich braci, Michała i Piotra Humnickich, różną poszły drogą. Pierwszy, syn emigranta z rewolucji listopadowej, zrodzony już na obczyźnie, tem gorętszą, właściwą emigracji, pałał miłością do ojczyzny, do której wrócić, ale z bronią w ręku, przy dźwiękach marsza tryumfalnego, jak dziadowie przed pół wiekiem, było marnieniem tych wygnańców przymusowych i do-

browolnych, i w kepi francuskim, jako szeregowiec Michel, bo dźwięki jego nazwiska sprawiały nieprzeparte trudności podniebniom przełożonych, leżał z karabinem w pierwszym z podkopów, którymi oblegający ryli się jak krety pod przemożne bastjony twierdzy, zdało się, niezdobytej. Niweczyły ich pracę, zmadną, bez końca, kontrminy z miasta, niespodziewane, jak huragan przebiegające i niweczające wszystko wycieczki, niezmordowany Totleben, dusza obrony, zamieniał rolę swoich defensywną na ofensywną, klimat, zimno, deszcze były mu rodzimymi sprzymierzeńcami.

Przy boku tego urodzonego wodza oglądać można było często młodego, odłączonego tymczasem od swego pułku, korneta pawłogradzkich lejbhazarów, błyszczącego świetnym mundurem, w dolmanie turkusowym, takimże czako ze złotem, amarantowych rajtuzach, strojnego jak na gody—gody śmierci, Piotra Pawłowicza Hamnickiego. Ojciec jego szybko się pogodził ze straconemi nadziejami, syna na awans oddał.

Miesiące za miesiącami odpowiadały sobie rykiem setki gardzieli armatnich, zmiatających powierzchnię ziemi, w okopach broń szczękała zajadle o broń, kilof stykał się z kilofem w walkach, strasznych, podziemnych.

Nadszedł pamiętny w dziejach oblężenia

dzień 18 czerwea 1855 roku, dzień klęski oblegających, którą powetować miał dopiero inny, równie krwawy—znacznie później.

Pod tę porę jednak niecierpliwość sprzymierzonych, rozzuchwalonych uprzedniem zdobyciem okopu przed groźnym kurhanem Małachowa, wywołała szturm skombinowany. Już nie St. Arnaud wiódł ten atak zuchwały; trawiony nieuleczalną chorobą, zmarł na okręcie, odwożącym go do brzegów Francji. Nastąpił i ustąpił już po nim dzielny, ale gubiący się w węzłach dyplomacji, chcący z Paryża i Londynu dyrygować akcją, Canrobert; prowadził teraz Pelissier, żołnierz i dyplomata, dla porwania Anglików za sobą wyznaczający na szturm rocznicę bitwy pod Waterloo.

Ale czego miał dokonać później, tu zawiodło.

Nad twierdzą czuwa głównodowodzący, książę Gorezakow, ale, co sił zbytich, pehnął pod Totlebenem na spotkanie podchodzącej pod mury armii nieprzyjacielskiej. Jak z ula pszczoł roje, wylegają z za szanieców bataliony za batalionami, szarzeją rosyjskie kolumny w zbitych masach, tysiące bagnetów pochylają stalowe żądła, odrzucając od wałów szturmujące szeregi. Szturm zaczyna przechodzić w bitwę pod murami twierdzy. W rozwiniętym wachlarzu sił francusko - angielskich robią się

strzępy, wylomy w tym posuwającym się, wstrzymanym nagle ludzkim żywopłocie. Odplywają jak fale morskie, wracające od skały nadbrzeżnej, po za własne aprosze. A Totleben prze na cofających się całą siłą swych, stałą uwieńczonych, taranów, wpija się pomiędzy nich zębami swych kadrów, grozi zajęciem i usadowieniem się na terenie tamtych robót fortyfikacyjno-zaczepnych.

Naprzeciwno klucza fortecy, kurhanu Małachowa, trzymając wzgórek, jeszcze kompania piechoty liniowej i kompania legii, przytulone do szanców i zakryte nasypem, wytrzymują wśród ogólnej deruty.

Ale zwarty batalion nieprzyjacielski idzie do ataku.

— *Feu!*

Salwa osadza batalion na miejscu, jak bawołu, nietyle śmiertelnie zranionego, ile oślepionego. Mieszają się szeregi, płaczą się, ściskają, jedna chwila ma rozstrzygnąć, czy runą znowu naprzód, czy zwrócą się ku ucieczce.

Na gniadym koniu jeździec w błękitnym dolmanie przypada,—Totleben śle rozkaz: Naprzód.

— *W pieriod!*

— *En avant!* — z tamtej strony też zrozumiano to pierwsze zawahanie się zwycięskiego potopu, kapitan kompanii liniowej, —

niedawno skończył szkołę wojenną,—chce bić w zmięszanego nieprzyjaciela. Ale ludzie jego, świeżo nadeszła, nie zorganizowana jeszcze i nieudyscyplinowana zbieranina z naprędce wysyłanych posiłków, nie mają wielkiej ochoty wyjść z za obronnej pozycji. I zrozpaczony zwraca się do kolegi swego w randze:

— *En avant la légion!*

— *Mes enfants, en avant!*—zwraca się ten do swoich; oficerowie, sierżanci, powtarzają, zagrzewając, dodając słowa zachęty, przyśpieszenia.

— *Eh bien, Michel!*—sierżant zrywa swoje kępi z głowy i wsadza je na bagnety — taki szyk starych żołnierzy, gdy idą — po zwycięstwo. Michał naśladuje go.

I legia wstaje, rzucając się lwiami krokami ku posuwającym się już ciemnym uniformom. Tamtych wyprzedził jeździec na gniadym koniu i wpada w porywające się pierwsze szeregi legii. Szabla jego spada na odkrytą głowę Michała.

Ale już kilka bagnety pod turkusem dolmana szuka krwi sereca.

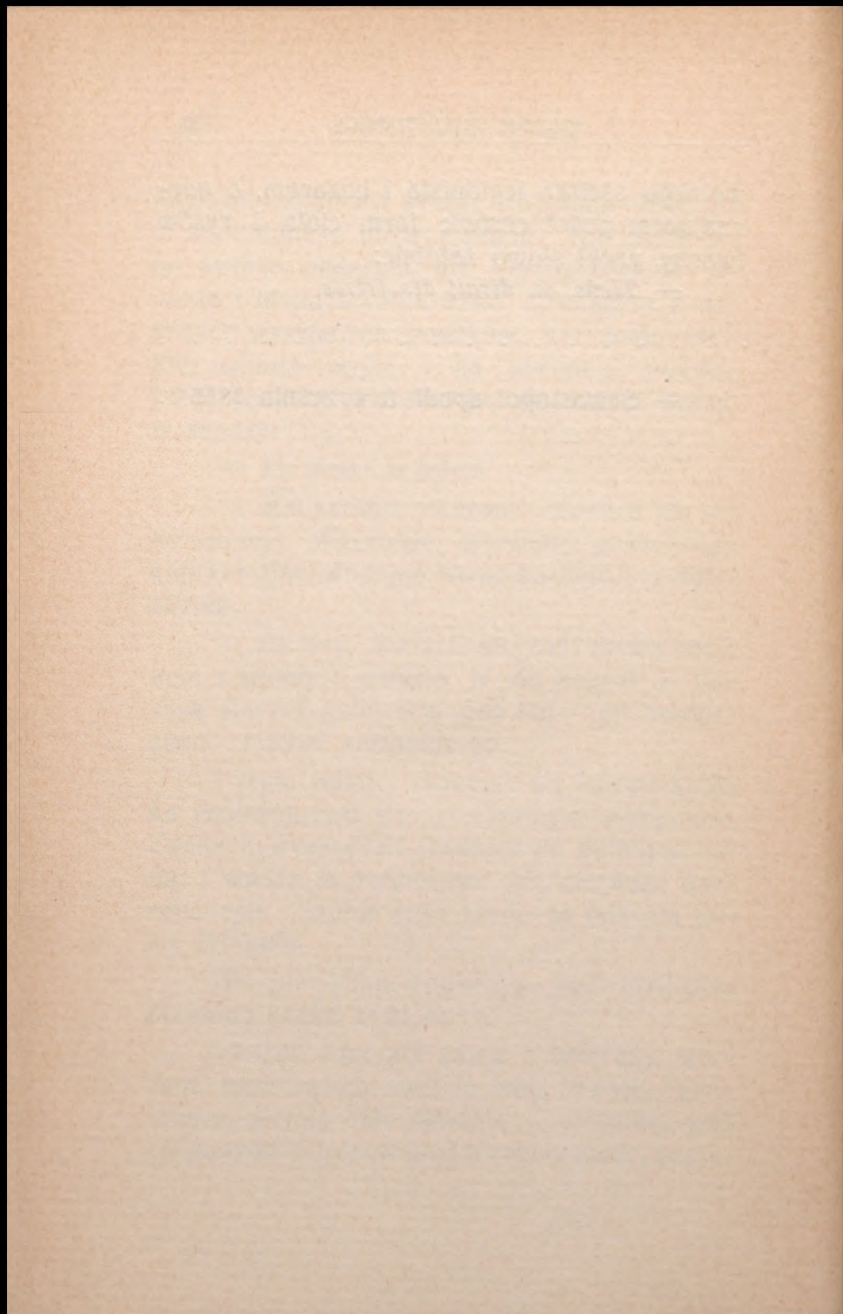
— Gdy odpłynął zalew z twierdzy, sierżant, rozliczający swoich, tych, co żyją, i tych, którym ziemia dała ostatnią podściółkę, nad splątanymi w bezwładnej nieruchomości ponie-

wolnego uścisku legionistą i huzarem, o uderzającym podobieństwie form ciała i rysów twarzy, rzekł słowo żałobne:

— *Tiens, on dirait des frères.*

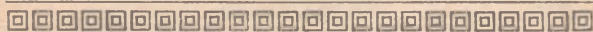
.

— Sewastopol upadł 8 września 1855 r.



KLEŚKA DAM.

KLESKA DAY



Wioska Mazowsze leży w Płockiem nie-
daleko granicy pruskiej, w lipnowskim powie-
cie, malowniczo nad rybnem jeziorem.

Nie wprost mlekiem i miodem płyną te
okolice, ale kto ma żytko, ma wszystko, miał
zwłaszcza, gdy korzec nie wyprawiał jeszcze
tańców zwarjowanego barometru. Wielopol-
ski rządził Królestwem, a cokolwiek o dumie
i pysze margrabiego można powiedzieć, admi-
nistracja była doskonałą, porządek wzorowy,
a z nim rósł dobrobyt, zanim nieunikniony
protest przeciwko despotyzmowi zamienił kraj
nasz w jedną dolinę łez i krwi.

Narody nie mają przeczuć. Tymczasem
zdawały się wracać czasy konstytucyjne. Pola-
cy zasiadali na najwyższych urzędach, w Płoc-
ku gubernatorował pan Dominik Dziewanow-
ski z Działynia. W Mazowszu, u państwa Lu-
dwikowstwa Smoleńskich, na św. Ludwika,

króla francuskiego, dwudziestego piątego sierpnia, hucznie było. Małżonkowie, młodzi jeszcze, bezdzietni, lubili zabawy i gości. Butelki szampana, szwarcowanego z Torunia, leżały stale dla chłodu w wielkiej balji z wodą; srebrnoszyjki, czekając, zwykle krótko, aż je ręka w bawełnianych, białych rękawieczkach, wyjąwszy ostrożnie z mokrego schowania, okręci serwetą, poczem korek strzeli i — finis życia szampanki.

Wesoło bywało w Mazowszu zawsze, czasem jeszcze weselej.

Zjechało się sąsiedztwo całe, miały być tańce, chociaż to w sierpniu trochę mozolne zajęcia, ale młodzież, czy to na mrozie, czy pod równikiem, zawsze hoc! formalny bal. Byli Zielińscy, Piwnicy, Galezowie, Samińscy, panie w muślinach i krynolinach, panowie we frakach, do stanu wziętych, i nankinowych angażantach. Uroczę główki okalały melancholijno-filuternym wdziękiem loki i nioby, — napoleonki imitowały arbitra elegancji, cesarza Francuzów.

Mężczyźni nie zanieczywali w salonie konwersacji.

Kobiety były piękne i z siebie zadowolone.

Ale jak każda armia tem bliższą jest dezastrowi, im dufniejsza w siebie, tak i armia charme'ów niewieścich przedwczesnie tryumfowała.

Najpierwszą poniosła porażkę w tej nieustannej walce pomiędzy wiecznokobiecem a wąsami, co prawda najmniej ponętne, chociaż najobfitsza piękność gubernialna, pani Zofia Zawadzińska. Rozbijały jej kształty otulała — na szczęście — suknia, — na nieszczęście — pomarańczowego koloru, na krzyż w formie szala przełożona przez piersi, które uwypuklały się pod nią zbyt, jak dwa pączki, ale nie różane, tylko z tych, które w okrągłej pulchności pieczono dawniej po pocziwowych wsiach, nie skarłowaciałe do cukierniczych dymensyi. Pani Zofia w pozie zwycięskiej uplantowała się przed panem Eustachym Zambrzyckim, który, z wieku i z urzędu, w zastępstwie Napoleona, był na te strony wyrocznią gustu i dobrego smaku.

— Nie lubię pamidorów! — zaopiniował pan Eustachy, który mimo całej swej uprzejmości i galanterji dla dam, miewał czasem dowcip złośliwy.

Potem trzepnął lekki szczutek po rzymskim nosku panny Izabeli Bolskiej, ozdoby panien i, dzięki kilku latkom nad potrzebę, ich menerki. Kręcił się pomiędzy nimi młodzianki bardzo Krzesio, bo do pełni imienia swego, Artakserkses, jeszcze nie dorósł, Majewski z Lipińca, na wakacje z Heidelbergiego uniwersytetu przybyły. Panny miały coś do niego, że Niemczyk, sztywny, źle tańczy,

a przedewszystkiem wiele za młody, by go móżdż wprządz w święte jarzmo hymenu, i taki, co tylko bezużytecznie po nogach depce, zaś innym, poważniejszym, drogę zagradza. Więc, po złożeniu krótkiej rady wojennej, panna Izabela wydelegowaną została, aby go odsadzić.

Na ogromnym mahoniowym bufecie po koju jadalnego pędziła kwadryga z sewrskiej porcelany. Wspinającymi się rumakami kierował bożek słońca, a wiozła toruńskie katarzynki.

— Może kawaler piernika?—zapropo-nowała zachęcająco panna Izabela.

Młodzian zarumienił się, ale połknął milcząc piernikowy afront wraz z podsuniętym sobie uprzejmie, chrupiącym przysmakiem i, dopiero zjadłszy go, rzekł grzecznie:

— *J'ai mangé la Cathérine, pour que vous ne la coiffez pas*—i z ukłonem:

— Może pani dobrodziejka walczyka?

U Francuzów Półnoocy, jak u Francuzów Południa, *bon mot* jest bronią śmiertelną. Świat przyklaskuje zwycięzcy turnieju, chociażby językowego, — sprzymierzone panny opuściły od razu swoją prowadyrkę.

Dalej gorąco zdezolowało fryzury, a nawet płeć, niedawno jeszcze liliom równą, niektórych dam. Kilka z nich znikło w garderobie, a kiedy wyszły z tego tajemniczego przybytku, przed którym dwie garderobiane,

niezem najsłużbistsze szyldwachy, zazdrosną trzymały straż,—wydały się w całości obrazu jakieś mniej sztywne. Pan domu, szukając żony, gdy zerknął do tej ustroni, dojrzał na sofie prężące się fiszbiny i stalki.

Śmieli się mężczyźni, rozbiła się już do- szcześnie solidarność obozu dam, gdyż część ich oburzała się na ten dezabil, najwięcej te, które rok rocznie jeździły do Ostendy.

Wyśmiewane niewiasty prychały, jak kotki podrażnione.

Ale zdawało się, że w nos upartemu losowi, znęcającemu się nad płcią słabą, pomści te wszystkie krzywdy na panach stworzenia najmłodsza z panien, panna Lucia, córka pomidorowej piękności. Niby to takie gapię, trzech zliczyć nie umiejące, a zawróciła ze szcęktem głowę koledze Heidelberczyka, ale znacznie skromniejszemu od niego, Wikeiowi Piotrowskiemu, i do tego stopnia, że najnieśmielszy z chłopców, pierwszy raz ją widząc, w ognistym mazurze oświadczył się jej. Oświadczył się jak najzupełniej, serjo, sentymentalnie i gorąco. Na serjo nie brała tego panna Lucia, pomimo młodego wieku wiedząc od matki, że zważa się tylko na oświadczyni wyżej pewnej cyfry lat i majątku, ale zawsze miłym było wzbudzić takie uczucie przy pierwszym występie w długiej sukni i wbrew ogólnym przepisom o akara-

niu takiego śmiałka w tej chwili bezlitośnem „nie“, odpowiedziała w słowach, co prawda odmownych, ale nie odbierających konkurentowi wszelkiej nadziei. Z czem poszła na relację do matki i dowiedziała się od niej, że jest—wyrodną i niebaczoną przestrogi i przykładu matki kokietką. Wikecio zaś usłyszał od niedoszłej swej teściowej kilka słówek tego rodzaju, że wypadł z sali i zniknął w ciemnościach ogrodu.

Na placu boju została bohaterka, panna Lucia, trochę z minką ofiary, i grono pań, skupione w żywej wymianie myśli, pięknych, wzniosłych, a praktycznych, których finał był zawyrokowaniem, że jednak w osobie Wikecia Opatrzność pychę męską pokarała.

W to *allegro vivace* wpadł jednak dysharmonijnie zgrzyt zapytania.

— Ale gdzie ten smarkacz poleciał?

Bliskość graniczącego z ogrodem jeziora, miłość i młodość, połączyły się odrazu w głowach niewieścich w obraz tak nieszczęśliwie suggestywny, że jedna myśl przeszła wszystkie tym dreszczem, który wywołuje obraz śmierci.

— Utopił się, utopił!

— Bo jakżeż też pani mogła tak ostro...

— Trzeba było delikatnie wyperswadować...

Wezwani, jednakże, na pomoc mężczyźni wyrazili niejakię powątpiewanie co do pewności faktu, ale koniec końców całe towarzystwo pobiegło ogrodem w stronę jeziora.

Srebrna tarcza wód, w czarnej oprawie trzciny, lśniła pogodnie pod białym światłem księżyca.

Rozciągnięty na ławce nad brzegiem leżał Wikcio i—spał.

— *Voilà ce que c'est que l'amour!*—koniec parasolki panny Izabeli dotknął pogardliwie leżącego.

— *Non, c'est le vin,* — poprawił któryś z mężczyzn.

Wikcio otworzył oczy. Śniło mu się właśnie, że za jakieś ciężkie przestępstwo skazany jest na ścięcie, że leży nieruchomy, przytwierdzony do bloku, próżno usiłując się zerwać, oto miecz kata dotyka jego karku...

Mazur szedł dalej do rana. Hamorki poprawiły się znacznie i nietylko brak ochoty, ile coraz natężywiej przez okienice wdzierające się blaski słońca, coś około południa, położyły kres balowi.

Ale nim zaczęto się żegnać, z żalem — panie degustowały filiżaneczkę rosółku gołębiego lub, temperamentniejsze, barszczyku, mężczyźni zaś pili strzemiennego,—pani Zawadzińska, którą dwadzieścia cztery godzin

zabawy mogło rozgrzać, ale nie zmęczyć, uwzięła się jeszcze na pana Zambrzyckiego.

— Niech pan nam jeszcze na zakończenie opowie co ciekawego — prosiła, chcąc go wyciągnąć na jaką z anegdot, w których celował. A miał co opowiadać z czasów, które nad głową jego przeszły. Przyznawał się tylko do pięćdziesiątki, ale odbył jeszcze wielką kampanię moskiewską „młodziutkim chłopcem“.

Smoleńsk, Możajsk, Borodino, — pół bojowych, grzmotem działa grzmiące nazwy. Dymem spowity błyska ogniem i żelazem szaniec Rajewski, gęste ptaetwo ołowiu śląc na powitanie szalonej szarży kawaleryi, pełniętej łbami końskimi w wał fortecy. Rozciągają się w powietrzu białe płaszcze kirysyerów, płyną z kasków błyszczących poziomo końskie ogony, długie, szerokie pałasze sterczą naprzód drapieźnie, jak dzioby, i fala ta ptaków olbrzymów przeciwstawia piersi czarnym jaskółkom, które wwiercają się, rwąc laki w równych liniach szwadronów, uścielając ziemię ludźmi i końmi. Pomysł szaleńca geniusza, pomysł — wykonany. Ci, którzy znaleźli się po tamtej stronie okopów, po stratowanych kanonierach i poprzewracanych działach, sami nie wiedzieli, jaka siła ich tam przeniosła.

A na drugi dzień, dla trudności lieze-

nia, obmierzono tylko jeden kwadrat pola z cyfry zalegających go trupów przymierzając straty.—Białetyn liczby nie podał. —

Pomiędzy tymi, którzy wyszli żywo, był Eustachy Zambrzycki, i ten jeden czyn wystarczał, aby mu darować homeryczną skłonność do niewinnych haftów na owem wielkiem tle.

Więc, jak stał nocą, po nadludzkiem trudzie krwawego dnia, na posterunku, — a tu ktoś kładzie mu rękę na ramieniu i słyszy głos, którego dźwięk znała Europa: „Jak się masz, Eusiu?”

— Ależ Napoleon po polsku nie umiał—zaoponowała mu raz jakaś niedowierzająca dzierlatka.

— On—wszystko umiał. —

Ale tym razem pan Zambrzycki odmawiał.

— Prosimy, prosimy — dźwięczał z pod różnokolorowych kapotek i chusteczek chór głosików.

Pan Eustachy certował się długo, nakoniec uległ.

— Dobrze, kiedy koniecznie, ale — proszę się nie gniewać. A zatem raczeie wszystkie, moje śliczne panie, za mną, jeszcze raz do salonu. — Tak, — i proszę stanąć w koło mnie, a ja wam—zadeklamuję. —

— Ach, jak to pięknie! —

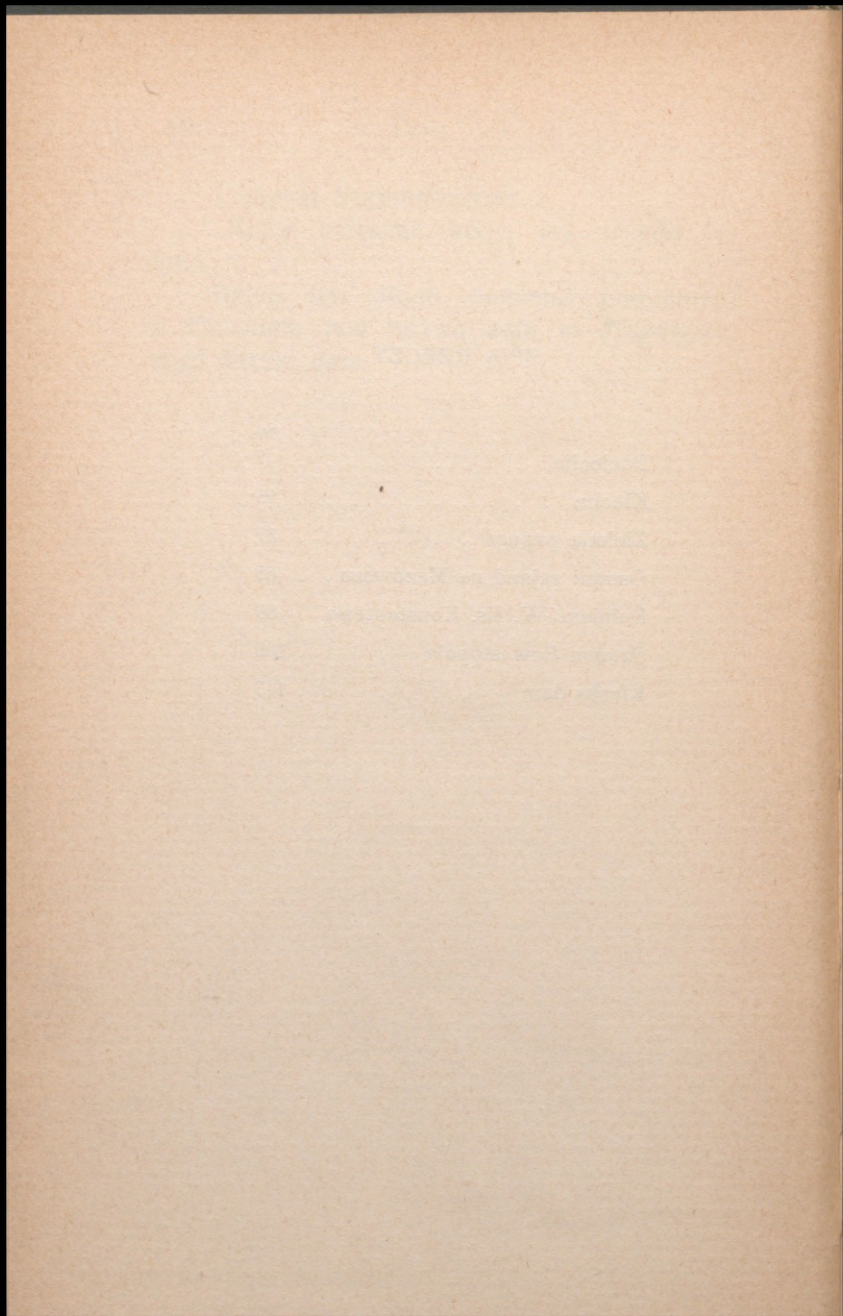
I zaczął Szymonowicza:

„Kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna...“

Dzień ten długo pozostał pamiętnym w Płockiem pod nazwą balu w Mazowszu, czyli Kłęski dam.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Pociecha	7
Klecha	25
Zielona papuga	47
Ostatni zajazd na Mazowszu	65
Żołnierz W. Ks. Konstantego	89
Szturm Sewastopola	103
Klęska dam	113



LUDWIK ROMOCKI.

PAN KAWALER.

HISTORYE Z DAWNYCH LAT.

Nakładem T. A. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa.
Wende i S-ka.

Z GŁOSÓW PRASY:

Kuryer Warszawski (*Władysław Rabski*) patrz str. 2.

Nowa Gazeta (*Jan Lorentowicz*):

„Sześć stylizowanych zręcznie obrazków, na tle przeszłości narodowej osnutych, ale nie dążących do żadnej historyczności. Postać lub epoka historyczna służy autorowi jedynie za pretekst do szukania dosadniejszych barw i dobitniejszych kontrastów. Opowieściom, swobodnym i lekkim, towarzyszy często wytworny uśmiech ironiczny, przypominający niektóre uśmiechy A. France'a. P. Romocki ma wielką powściągliwość i mocne panowanie nad przedmiotem. Jest malarzem i poetą. Umie dobrze harmonizować barwy i pamięta o tem, aby nie wszystko powiedzieć czytelnikowi, w myśl maksymy, że „najpiękniejsze utwory literackie są te, które najmocniej pobudzają do marzenia“. Autor włada językiem żywym, prężnym, giętkim“.

Tygodnik Ilustrowany (*Henryk Galle*):

„odtworzane figury i sceny biją w oczy plastyką i wyrazistością konturów...“

Goniec Wieczorny (*Karol Łaganowski*):

„P. Romocki umie w kilku rysach odtworzyć koloryt epoki i nadać życie szkicowanym przez siebie postaciom... Język opowiadań, z lekka zarchaizowany, niekiedy ironiczno-humorystyczne lub dobroduszenie jowialne zacięcie w dyalogach, prowadzonych zręcznie, zalecają także te, „historye z dawnych lat...“ Przedstawiają one coś pośredniego między nowelką historyczną a obrazem. Rodzaj to mało znany w belewstyce.

Świat (*Adam Breza*):

„Autorowi za pierwowzór języka przyswiecał miejscami Sienkiewicz... Odrębny wpływ na niego wywarły „Historye“ Hoffmanna i Edgara Poe. Ztąd tło historyczne służy raczej za tło zmyślenia, jako barwny, stylowy podkład do rzeczy, czerpanych wprost z fantazyi.





9250/

17